



**JESSICA HART**

**Podróż  
do Australii**

**Tytuł oryginału:  
Partner for Love**





## ROZDZIAŁ PIERWSZY

Kurczowo trzymając parasolkę i balansując na jednej nodze, Darcy Meadows patrzyła na zabłocony but. W uszach dźwięczały jej zapewnienia wuja Billa, że Bindaburra leży w najbardziej suchej części suchej prowincji na suchym kontynencie. Rzeczywistość wcale nie potwierdziła owych słów i wyglądało na to, że dowcipny wuj zakpił sobie z bratanicy. Miało być upalnie i sucho, a było zimno, mokro i grząsko.

Otrząsnęła błoto, przywierające do obcasów, wyprostowała się i rozejrzała naokoło. Wzdłuż drogi dość gęsto rosły wysokie eukaliptusy, a po jej obu stronach niskie i rzadkie zarośla, ciągnące się po horyzont. Z powodu ulewy było ponuro i ciemno. Darcy zazgrzytała zębami, gdy uzmysłowiła sobie, że niepotrzebnie fatygowała się do Australii, ponieważ taka pogoda bywa i w Londynie.

Ruszyła dalej, ciężko wzdychając, gdyż miała wrażenie, że stąpa po mokrym cemencie. Buty oblepione błotem prędko robiły się ciężkie, więc musiała przystawać i je czyścić. Powoli przestawała wierzyć, że Bindaburra jest niedaleko. Wyruszyła wcześniej rano i przez cały dzień jechała rozmokłymi drogami, a gdy już sądziła, że zbliża się do celu, samochód ugrzązł w gęstym błocie.

Nagle stanęła i wyteżyła słuch; zdało się jej, że w szumie ulewy słyszy warkot silnika. Miała nadzieję, że nadjeżdża życzliwy człowiek, który ulituje się nad nią i chętnie podwie-

zie pozostałe dwa, najwyżej trzy kilometry do Bindaburry. Niewiele myśląc, wyszła na środek drogi i wyciągnęła rękę. Musiała jednak trochę poczekać, zanim jadący przeprawi się przez koryto przybierającego strumienia.

Samochód pędził wprost na nią, więc przeraziła się, że kierowca jej nie zauważył. Aby utrzymać równowagę, rozłożyła ręce i usiłowała jak najprędzej zejść mu z drogi. Na szczęście kierowca dostrzegł zjawę jakby z innej planety i zwolnił w samą porę. Okazało się, że nie był to samochód osobowy, lecz furgonetka. Darcy byłoby przyjemniej, gdyby wybawił ją właściciel eleganckiego wozu, ale od trzech godzin nie widziała żywej duszy, więc była rada, że los zesłał jej przynajmniej taką pomoc.

Kierowca zatrzymał się i opuścił szybę. Chcąc podbiec, Darcy zachwiała się, lecz zdążyła chwycić klamkę. Sapiąc głośno, wyprostowała się i z czarującym uśmiechem na ustach zajrzała do szoferki.

- Dzień dobry - powiedziała beztroskim tonem, nie zdając sobie sprawy, że wygląda nieprawdopodobnie.

Zdziwiło ją, że kierowca ma mało przyjazny wyraz twarzy. Wychylił się przez okno i z marsmem na czole patrzył na nią, jak gdyby nie wierzył w to, co widzi. Nie dostrzegła w jego oczach ani krzty współczucia, więc pomyślała zrozpaczona, że trafiła na człowieka, który jej nie pomoże. Nie odpowiedział na jej powitanie, lecz warknął:

- Co pani tu robi?

Ton jego głosu zaskoczył ją, a nawet lekko uraził, ponieważ mężczyźni zwykle inaczej reagowali na jej ujmujący uśmiech.

- Chciałam zwrócić na siebie uwagę.

Mężczyzna wzruszył ramionami i spojrzął na parasolkę, która była jaskrawożółta i zielona, a kształtem przypominała drzewo bananowe. Na końcu szprych-gałęzi wisiały kiście bananów. Darcy otrzymała ją od przyjaciółki i wszędzie z sobą zabierała. Australijczyk widocznie nie miał poczucia humoru i na jego twarzy nie drgnął żaden mięsień.

- Trudno czegoś takiego nie zauważyć - mruknął z silnym miejscowym akcentem, który w jej uszach nieprzyjemnie zazgrzytał.

Omiótł Darcy krytycznym spojrzeniem i pokręcił głową. Miała na sobie purpurowy żakiet, wąskie spodnie w białoniebieskie paski i pantofle na wysokich obcasach.

- Trudno powiedzieć, żeby wtapiała się pani w tło - dorzucił z dezaprobatą. - Jesteśmy ponad trzysta kilometrów od miasta, do którego pewno wybrała się pani po zakupy. Można wiedzieć, jakim cudem znalazła się pani tutaj?

Wolała udawać, że nie zauważyła jego nieuprzejmości. Zdawała sobie sprawę, że to może być jedyny człowiek, który wybawi ją z opresji.

- Mój samochód utknął w błocie.

- To ten, który sterczy niedaleko stąd?

- Tak. Za żadne skarby nie mogłam ruszyć go z miejsca. Zawadzał panu, prawda?

Mężczyzna powiedział coś, czego nie dosłyszała, ponieważ ulewa nasiliła się i duże krople coraz głośniejsze bębniły o parasolkę. Gdy kobieta-zjawa nie zareagowała, Australijczyk zawołał, przekrzykując szum deszczu:

- Niech pani wsiada!

- Dziękuję.

Skwapliwie skorzystała, chociaż ani trochę nie wątpiła, że propozycja została niejako wymuszona okolicznościami. Przeszła przed maską na drugą stronę, niezgrabnie usiadła na fotelu, zamknęła parasolkę i zdrapała błoto z butów. Pantofle były do wyrzucenia. Żałowała, że nie zabrała z domu kaloszy.

Zatrzasnęła drzwi, oparła parasolkę koło nóg i odwróciła się ku swemu wybawcy.

W nikłym świetle lampki dostrzegła twarz o surowym wyrazie i oczy, patrzące na nią ze źle skrywanym zniecierpliwieniem. Australijczyk miał wyraziste, pociągłe rysy, wydatny nos, mocno zarysowaną szczękę i wąskie, jakby zaciśnięte usta. Emanowała z niego jakaś wewnętrzna siła, nad którą doskonale panował.

Darcy głównie obracała się wśród wybuchowych aktorów, więc chłodna powściągliwość nieznajomego od razu rzuciła się jej w oczy. Bez namysłu zdecydowała, że jest człowiekiem skrytym, umiejętnie maskującym uczucia. Mimo to jego postawa świadczyła, że autostopowiczka nie przypadła mu do gustu. Pogardliwie skrzywił usta i patrzył na nią niepokojąco przenikliwie.

Pod wpływem krytycznego spojrzenia poczuła się nieswojo i uświadomiła sobie, że musi nader osobliwie wyglądać; krzykliwie ubrana kobieta z jarmarczną parasolką pieszo wędruje przez pustkowia. Zarumieniona ze wstydu szepnęła:

- Jestem panu bardzo wdzięczna.

Teraz nawet własny akcent wydał się jej nie na miejscu, więc uśmiechnęła się przepaszająco. Australijczyk zachował kamienną twarz.

- Na bezludziu należy zostać w samochodzie. - W jego

głosie brzmiała surowa nagana. - Dlaczego nie czekała pani na pomoc?

- Myślałam, że pieszo szybciej dojdę.

- Pieszko? - powtórzył, patrząc na nią, jakby spadła z księżycy. - I dokąd to chce pani dojść?

- Do Bindaburry - odparła, dumnie się prostując.

- O, to wybrała się pani na niezły spacer. Stąd jest ponad trzydzieści kilometrów.

- Na mapie wyglądało, jakby było niedaleko od głównej drogi. - Przeraziła się nie na żarty. - Myślałam, że za tamtym zakrętem będą już zabudowania.

- Radzę pani najpierw sprawdzać, jaka jest skala mapy - rzucił z odcieniem ironii. - Byłoby to o wiele mądrzejsze, niż takie maszerowanie w nieznane.

- Skąd miałam wiedzieć, że będzie tak daleko?

- W tym cała rzecz. Skoro pani nie wiedziała, należało siedzieć w samochodzie. Nieważne, jak blisko było według pani obliczeń. Nawet, jeśli droga wydaje się prosta, łatwo tu zablądzić. Po ciemku na pewno zgubiłaby się pani i ktoś kiedyś znalazłby wóz, ale pani już raczej nie.

- Ale pan mnie znalazł - burknęła gniewnie.

Rozważała, czy nie lepiej byłoby iść pieszo, niż wysłuchiwać uwag niesympatycznego człowieka. Uważała, że zamiast pouczać, jak należy postępować, powinien zawrócić po jej samochód.

- Tylko przez przypadek. A tak w ogóle, dlaczego jedzie pani do Bindaburry? Tam nie ma ani hotelu, ani pola biwakowego, a chyba o to pani chodzi.

- Wcale nie. - Spojrzała na niego zdumiona. - Kto chciałby przyjeżdżać tu na wakacje?

- Myślałem, że szuka pani noclegu, żeby po nocy nie jechać do Muroondy. Widocznie się omyliłem.

- Wolałabym raczej wrócić do Anglii, niż spać pod gołym niebem.

Nigdy nie nocowała pod namiotem i taka ewentualność bynajmniej jej nie pociągała.

- Coraz mniej rozumiem. Po co pani tam jedzie, jeśli nie szuka noclegu?

- A panu co do tego? - spytała niegrzecznie.

- Uważam, że jako właściciel Bindaburry mam prawo otrzymać wyjaśnienie.

Na kilka sekund zaniemówiła z wrażenia, a potem rzekła lodowatym tonem:

- To raczej mnie należą się wyjaśnienia. Byłam przekonana, że ja jestem właścicielką.

Zapadła złowieszcza cisza. Mężczyzna zacisnął palce na kierownicy i zmarszczył brwi.

- Że co proszę...? - Urwał zdezorientowany, lecz nagle jakby olśniła go pewna myśl. - Nie do wiary! Chce mi pani wmówić, że jest Darcy...?

- Dla pana jestem panną Meadows!

Oczy groźnie jej błysnęły, ponieważ jego tupet powoli wprowadzał ją z równowagi. Australijczyk kłamał w żywe oczy, a wcale nie spieszył się, że go na tym przyłapała. Zapewne wykorzystywał fakt, że Bill Meadows nie żyje i podszycił się pod właściciela. Ze złośliwą satysfakcją pomyślała, że wkrótce skończą się jego rządy i będzie musiał liczyć się z nową właścicielką.

- Jak pan śmie podawać się za właściciela mojego majątku?

- To nie jest pani majątek...

Zaczął mówić z tak irytującym spokojem, że przerwała mu, niemal krzycząc:

- A właśnie, że jest! - Zdenerwowana wyjęła z torebki kopertę i podsunęła mu pod oczy. - Mam pismo od adwokata z Adelajdy, który informuje mnie, że wuj nie żyje i że jestem jego jedyną spadkobierczynią. Jeśli mi pan nie wierzy, niech sam przeczyta!

- Droga panno Meadows, wierzę pani na słowo - rzekł z lekka pogardliwie. - Po prostu zaskoczyła mnie pani. Nie sądziłem, że lotem błyskawicy pogna pani w nasze strony, żeby sprawdzić, co jej wpadło od starego krewnego.

- Oj, stanowczo za dużo pan sobie pozwala! Co to ma znaczyć? Kim pan jest?

- Nazywam się Cooper Anderson.

Spojrzał z ukosa, aby zobaczyć, jak zareagowała na jego nazwisko. Nawet nie drgnęła.

- A więc, panie Anderson, od dziś zwalniam pana. Urażona chciała wysiąść i dalej iść pieszo, więc położyła rękę na klamce.

- Niezmiernie mi przykro, że panią rozczaruję, ale nie można się mnie pozbyć.

- A to czemu?

- Gdyby mi pani co chwilę nie przerywała, już by wiedziała, że Bindaburra należy i do pani, i do mnie. Jesteśmy współnikami.

- O czym pan mówi? - Zrobiła okrągłe oczy. - Nie mam żadnego współnika.

- Niestety, ma pani. - Rozbawiło go osłupienie na jej twarzy. - Zapewniam panią, że mnie jeszcze mniej cieszy fakt, że mam mieć taką współniczkę.



- Bezczelność! - Potrząsnęła kopertą. - Adwokat twierdzi, że wuj mnie zostawił całą posiadłość.

- Ma rację o tyle, że pan Meadows zostawił pani to, co posiadał. Był właścicielem połowy, a ja drugiej, na pani nie-szczęście.

- Mam nadzieję, że może pan to udowodnić - wykrztusiła, niewidzącym wzrokiem patrząc na szybę zalaną deszczem.

- Oczywiście, że mogę - wycodził zimno. - Nigdy nie rzucam słów na wiatr.

- Nic nie wiedziałam... - Przygryzła wargę. - Wuj nie wspominał, że ma współnika.

- Byłoby rozsądniej, gdyby pani nie spieszyła się tak bardzo z przejęciem majątku. Należało najpierw zapoznać się ze szczegółami.

Jego trzeźwa uwaga tym bardziej ją rozgniewała, że sama doszła do podobnego wniosku. Ze źle skrywaną niechęcią spojrzała na nieoczekiwane współwłaściciela Bindaburry.

- Przyjechałam, bo chciałam sprawdzić, czy wszystko jest w porządku - rzekła, nadrabiając miną. - Mogły pojawić się jakieś kłopoty, a nie byłoby komu ich rozwiązać. Przecież nie wiedziałam, że pan tu jest, więc rozsądek nakazywał mi jak najprędzej przyjechać.

Anderson zrobił zdziwioną minę. Jego zdaniem młoda kobieta nie wyglądała na osobę, która podejmuje rozsądne decyzje. Miała duże, błękitne oczy i ciemne loki, opadające na ramiona. Była pełna żywiołowego wdzięku, ładna, a nawet pociągająca, ale nie rozsądna.

- Dobrze to o pani świadczy. - Nieznacznie drgnęły mu kąćki ust. - Czy pani ma jakieś doświadczenie w zarządza-

niu wiejskim gospodarstwem? Mogę wiedzieć, jak chciała pani rozwiązywać tutejsze problemy?

Ubodły ją nie tylko same pytania, ale i cień drwiny w nikłym uśmiechu.

- Potrafię znaleźć się w każdej sytuacji - odpowiedziała wyniośle.

- Czyżby? Moim zdaniem cechuje panią brak rozsądku. Pomyślała, że Anderson mówi to samo, co ojciec, lecz

mimo to zaprzeczyła:

- Nie jestem nierozsądna!

- Czy można inaczej nazwać osobę, która na bezludziu wyskakuje jak diabeł z pudełka? Dlaczego nie zawiadomiła mnie pani o przyjeździe?

- Jak miałam zawiadomić, gdy nie wiedziałam o pańskim istnieniu? - spytała logicznie.

- Trzeba było trochę pomyśleć, nie działać pochopnie.

- Niecierpliwie machnął ręką. - Ale pani pewnie zakładała, że w domu ktoś będzie. Na tej samej zasadzie, na jakiej myślała, że Bindaburra jest tuż za zakrętem.

Nie lubiła nikomu przyznawać racji, więc syknęła:

- Jest pan złośliwy! Wuj mówił, że zatrudnia kilku ludzi, dlatego sądziłam, że będą na miejscu. Chyba od razu nie odeszli?

- Nie, ale tak się składa, że akurat są zajęci na drugim końcu majątku.

- Wszyscy?

- Tak, co do jednego. O tej porze roku jest ich raptem trzech.

- A gospodyni?

- Odeszła tydzień temu i jeszcze nie znalazłem nikogo na

jej miejsce. Zresztą ja też nie zamierzałem na razie wracać, ale jeśli nadal będzie tak lało, woda mocno przybierze, a nie chciałem być odcięty od domu. - Zerknął na jej nadąsaną twarz. - Gdybym przyjechał wcześniej albo wcale, mogłaby pani i przez tydzień nikogo się nie doczekać. Nawet pani nie podejrzewa, jakie ma szczęście.

W życiu dość się nasłuchiwała uwag na temat swego braku rozsądku, więc jego komentarze ją rozdrażniły.

- Szkoda, że nie czuję tego szczęścia! - mruknęła. - Dwa dni temu wyruszyłam z Adelajdy i prawie cały czas jechałam trasą, która bardziej przypomina bagna niż drogi. Jestem zmarznięta, przemoczona, głodna i nie wiem, jak długo człapałam w błoku, które mi zniszczyło najlepsze buty. Moje ulubione pantofle są do wyrzucenia!

- Niech się pani cieszy, że zniszczone buty są jej jedynym smartwieniem.

Anderson widocznie nie miał serca i nie umiał współczuć w niedoli. Włączył silnik i skręcił tak gwałtownie, że o mały włos Darcy uderzyłaby głową o szybę.

- Gdzie pan jedzie?! - krzyknęła wystraszona.

- Chce pani siedzieć tu przez całą noc? Zawracamy po pani samochód. Musimy zabrać go teraz, bo jutro będzie za późno.

Wiedziała, że powinna być wdzięczna, lecz mimo to perspektywa wyciągania samochodu z błota wcale jej nie odpowiadała. Tym bardziej że potem czekała ich długa jazda w deszczu.

Okazało się jednak, że poziom wody podniósł się tak mocno, że Anderson zrezygnował z holowania samochodu.

- Zabierzemy tylko pani rzeczy i pędzimy z powrotem

- zdecydował, gdy wjeżdżali w wodę, dochodzącą do połowy kół. - Nie ma czasu do stracenia.

- Zawsze tak prędko przybiera?

- Owszem, jeśli leje jak z cebra. Między nami a Bindaburra jest pięć wartkich strumieni, więc im prędzej pojedziemy, tym lepiej.

Ogarnęły ją wątpliwości, czy może porzucić wynajęty samochód, więc nieśmiało zapytała:

- Nic się nie stanie, jeśli go zostawimy?

- Przy takiej pogodzie nikt go nie ukradnie, nie ma obawy. Zresztą nikomu by się na nic nie przydał. - Tracił oponę czubkiem buta. - Taki wóz jest tu do niczego. Aż dziw, że pani wcześniej nie utknęła. Dlaczego nie wynajęła pani czegoś lepszego?

- Bo nie miałam pieniędzy.

Otworzyła bagażnik i wyjęła pękatą torbę, a Anderson walizkę.

- Hm, a na ekspresowy samolot do Australii było panią stać?

- Pożyczyłam część pieniędzy od ojca - przyznała się zawstydzona. - Nie wiedziałam, jak daleko będzie z Adelajdy, więc musiałam wynająć samochód. Wybrałam najtańszy, na wypadek gdybym nie mogła odstawić go w terminie. - Zamknęła bagażnik. - I chyba mądrze zrobiłam. Nie zdawałam sobie sprawy, że to tak daleko i w jedną stronę trzeba jechać bite dwa dni.

- Coś mi się widzi, że nie zdaje pani sobie sprawy z miliona rzeczy.

Gdy rzucił walizkę i torbę na odkrytą platformę, ośmieliła się zapytać:

- Nie zamokną mi tutaj?
- Nie bardziej niż my zmokniemy, jeśli się nie pospieszymy - burknął.
- Naprawdę nie ma miejsca w szoferce?
- Chce pani wszystko trzymać na kolanach?
- Mogę, bo wolałabym dowieźć suche rzeczy. Nie można chociaż czymś przykryć?

Gniewnie mrużąc pod nosem, Anderson wyciągnął kawał brezentu i rzucił na jej bagaż.

- Zadowolona pani?
- Mniej więcej.
- To niech pani wreszcie przestanie marudzić i wsia-da. Wystarczy, że woda przybierze jeszcze kilka centymetrów, a mokre rzeczy będą naszym najmniejszym zmartwieniem.

Udało im się przejechać przez wszystkie strumienie ale dosłownie w ostatniej chwili. W każdym kolejnym poziomie wody był wyższy, a gdy przejeżdżali przez ostatni, woda wdarła się do szoferki. Wystraszona Darcy podciągnęła kolana pod brodę. Naocznie przekonała się, że wynajętym samochodem nie zajechałaby tak daleko. Wolała nie myśleć o tym, jaki byłby jej los, gdyby utknęła w środku nurtu. Zastanawiała się, jakimi słowami wyrazić wdzięczność Andersonowi za to, że ją zabrał.

Do Bindaburry dojechali w zupełnych ciemnościach, w których zamajaczyły kontury długiego, niskiego budynku z werandą. Darcy odetchnęła z ulgą, gdy znalazła się pod dachem. Anderson wprowadził ją do korytarza oświetlonego jedną słabą żarówką i otworzył drzwi po prawej stronie.

- Tu spała gospodyni, więc powinno być stosunkowo

czysto. - Postawił walizkę pod ścianą. - Na pewno chce pani się umyć. Proszę tędy. Potem musimy porozmawiać.

Zabrzmiało to złowróźnie. Po jego wyjściu usiadła na łóżku i rozejrzała się. Pokój był bardzo skromnie umeblowany starymi meblami. W Londynie wyobrażała sobie, że przyjedzie do jasnego i gościnnego domu skąpanego w blasku słońca, a tymczasem zastała ulewny deszcz, ponury dom i wrogo usposobionego gospodarza. Poniewczasie przyznała rację ojcu, który odradzał wyjazd.

Po kąpeli, już w lepszym nastroju, otworzyła walizkę i zaczęła szukać czegoś suchego. Wilgotne rzeczy kolejno rozwieszała na krzesłach i dopiero na dnie walizki znalazła suchą suknię z cienkiej welenki. Była w tęczy kolorach, obcisła, dość długa, z szerokim zamszowym paskiem. Darcy ubrała się, wsunęła na rękę kilka srebrnych bransoletek i uśmiechnięta przejrzała się w lustrze.

Nie była zarozumiałą osobą, ale wiedziała, że podoba się mężczyznom. I dlatego niemile ją zaskoczyło, że jej urok nie działa na Andersona. To prawda, że często postępowała nierozsądnie, ale była ładna, pogodna i nie najgłupsza. Nie rozumiała, o co mu chodzi.

Pierwszy raz spotkała mężczyznę równie nieczulego na kobiecie wdzięk. Wcale nie zależało jej na tym, by się nią zachwycał, lecz uważała, że mógłby być... gościnniejszy.

Czekał na nią w dużej kuchni z ogromnym, staroświeckim piecem. Siedział przy stole i zamyślony obracał w ręce puszkę piwa. Miał spiętą twarz, a głęboka bruzda na czole świadczyła, że roztrząsa jakąś trudną kwestię.

Gdy weszła, spojrzął na nią tak zimnym wzrokiem, że stanęła jak porażona. Jednocześnie ogarnęło ją uczucie, że

zna tego człowieka. Jego twarz, sylwetka, sposób, w jaki siedział, coś jej przypominały. Miała wrażenie, że już się kiedyś spotkali. Zaskoczyła ją osobliwa pewność, że przez całe życie dążyła do ponownego spotkania. Stała wpatrzona w szare oczy oraz wsłuchana w tykanie zegara na ścianie i plusk deszczu za oknem.

- Dlaczego pani tak na mnie patrzy? O co chodzi?

- O nic - wykrztusiła, oblizując suche wargi. - Czemu pan pyta?

- Bo dziwnie pani wygląda.

- Coś mi się zdaje, że według pana wszystko we mnie jest dziwne - powiedziała, starając się opanować.

- Na jakiej podstawie pani tak sądzi?

Nie przyszło jej nic sensownego do głowy, więc odparła z posepnaną miną:

- Niby nic konkretnego pan nie mówi, ale cały czas jakoś podejrzliwie na mnie patrzy. Przy panu czuję się jak idiotka.

- Każda kobieta z taką idiotyczną parasolką powinna głupio się czuć. - Uniósł brwi, udając zdziwienie. - Długo tak można stać w drzwiach i namyślać się, czy warto wejść?

Speszyła się jeszcze bardziej, więc nic nie powiedziała. Opanowała się jednak, gdy uprzytomniła sobie, z kim ma do czynienia. Była zmęczona i otepiała po dalekiej podróży oraz zagubiona w nowym miejscu. Zapewne wszystko razem złożyło się na to, że ogarnęło ją dziwne uczucie, iż poznaje nieznajomego. Weszła i usiadła przy stole.

- Napije się pani piwa?

- Wolałabym herbaty, jeśli jest.

- Oczywiście, że jest.

Napełnił czajnik wodą i postawił na piecu. Obserwowała

go spod oka. Był szczupły, ale dobrze zbudowany i miał spokojne, oszczędne ruchy.

Uderzyła ją myśl, że jest zupełnym przeciwieństwem Sebastiana. Sebastian był gadatliwym blondynem, Anderson mało mównym brunetem, a mimo to była przekonana, że gdyby znaleźli się na przyjęciu, uwagę zebranych przykuwałby ten drugi. Sebastian był lepiej zbudowany, lecz Anderson miał w sobie coś bardziej pociągającego niż przystojna sylwetka.

Nerwowym ruchem przesunęła bransoletki. Zabrzęczały nieprzyjemnie głośno, więc czym prędzej splotła ręce na kolanach, gorączkowo zastanawiając się, o czym mogliby porozmawiać,

Andersona milczenie chyba wcale nie krępowało. Oparł się o szafkę, skrzyżował ręce na piersi i spokojnie czekał, aż woda się zagotuje.

- Jak umarł wuj? - zapytała cicho. - Wiem, że zmarł nagle... Kiedy był u nas, cieszył się dobrym zdrowiem.

- To zagadkowy wypadek. Pan Meadows wjechał na mrowisko i spadł z motoru. - Umilkł na chwilę. - Zginął na miejscu.

Darcy przymknęła oczy. Trudno było pogodzić się z tym, że silnego, pełnego życia mężczyznę spotkał taki koniec.

- Czy po to pani przyjechała, żeby dowiedzieć się, jak wuj umarł?

- Częściowo.

- A częściowo, żeby zobaczyć, co zostawił w spadku, tak?

Ironiczna nuta w jego głosie boleśnie ją dotknęła.

- Wuj bardzo chciał, żebyśmy obejrzała Bindaburrę - odparła, wyżej unosząc głowę.



- To jeszcze nie znaczy, że chciał, żeby pani ją posiadała.  
- Testament mówi co innego - rzekła oschle. - Jestem jego jedyną bratanicą i wuj bardzo mnie lubił. Dlaczego nie miałby zostawić mi majątku?

- Bo powiedział, że mnie go zostawi.

- Panu? Z jakiej racji?

Zagotowała się woda, więc zanim odpowiedział, zaparzył herbatę.

- Znał mnie i wiedział, że będę dbał o Bindaburrę tak samo, jak on.

- Podejrzewam, że niedługo byliście współnikami, bo podczas pobytu u nas wuj ani słowem o panu nie wspomniał.

- Wcale się nie dziwię. - Postawił czajniczek na stole.

- Pan Meadows nie mógł pogodzić się z faktem, że nie radzi sobie finansowo i musi mieć współnika. Pewno przemilczając ten fakt, miał złudzenie, że Bindaburra należy tylko do niego.

- Na czym polegała pańska rola?

- Wyłożyłem potrzebną gotówkę, ale uzgodniliśmy, że do niczego nie będę się wtrącał. Istniało między nami ciche porozumienie, że przejmę gospodarkę, gdy pani wuj przestanie sobie radzić, a po jego śmierci całość przejdzie w moje ręce.

Podał jej puszkę z mlekiem.

- To znaczy, że pan objął rządy dopiero po śmierci wuja?

- Tak. Na razie niczego nie zmieniłem, ale postanowiłem, że Bindaburra będzie moją bazą.

- Nie sądzi pan, że to trochę zależy ode mnie? - zapytała spokojnie.

- Teraz tak. - Patrzył na nią ponurym wzrokiem. - Pan

Meadows zawsze dotrzymywał danego słowa, ale widocznie nie zdążył wprowadzić zmian w testamencie. Mogę jednak przysiąc, że chciał, żeby Bindaburra należała do kogoś, kto zajmie się nią tak, jak on to robił.

- Na dowód mam tylko pańskie słowo - zauważyła ko-  
stycznie.

- Wiem bez przypominania - rzucił pogardliwie. - Nie  
spodziewam się po pani, że będzie honorować ustną umowę  
wujka. Dlatego odkupię jej część, dobrze za nią płacąc.

Wlała mleko i powoli zamieszała herbatę.

- A jeśli nie zechcę sprzedać?

- Co innego może pani z tym fantem zrobić? - Jej prze-  
kora wyraźnie go drażniła. - Chyba nie zamierza pani tu  
osiąść?

- A czemu nie?

Sama była zaskoczona odpowiedzią, bardziej niż on.

Wcześniej nie przemyślała sprawy, lecz Anderson mówił ta-  
kim tonem, że poczuła się dotknięta do żywego. Postanowiła,  
że nie zgodzi się potulnie na żadne rozwiązanie, które on  
zapropONUje.





## ROZDZIAŁ DRUGI

- Czy pani jest przy zdrowych zmysłach? - Powoli tracił cierpliwość. - Pani nie może tu zostać, to niemożliwe.

- Czy pan słyszał o gościnności? - odcięła się. - Zresztą to jest i mój dom, prawda?

Anderson czuł, że za chwilę przestanie panować nad sobą.

- Jeśli tym sposobem chce pani zmusić mnie, żebym więcej zapłacił, to próżna fatyga... panno Meadows.

Wymówił jej nazwisko z taką ironią, że zaczerwieniła się.

- Wcale nie chodzi mi o pieniądze, ale o to, czego wuj by sobie życzył. Co bynajmniej nie oznacza, że przekażę panu moją część, ledwo pan wystawi czek.

- Skąd taka pogarda dla pieniędzy? Jest pani pewna, że się nie przydadzą?

- Kochałam wuja - zawołała poirytowana - i to jest dla mnie najważniejsze. Jeśli pan myśli, że przyjechałam, żeby wyśrubować cenę jakiejś chałupiny na pustyni, to się pan grubo myli.

- Według pani Bindaburra jest „chałupiną na pustyni”?

- spytał urażony.

- Wiem, że wuj miał inne zdanie - przyznała speszona.

- Chciałam powiedzieć, że takie gospodarstwo na odludziu chyba nie jest szczególnie atrakcyjne z finansowego punktu widzenia.

- To „gospodarstwo” obejmuje około dziesięciu tysięcy kilometrów kwadratowych i jest warte grube pieniądze - rzekł spokojnie, udając, że nie widzi wrażenia, jakie informacja na niej wywarła. - Radzę dobrze się zastanowić, zanim pani uzna, że mówię nieciekawe rzeczy. Moim zdaniem, popelni pani kardynalne głupstwo, jeśli nie przyjmie mojej propozycji, bo sprzedaż majątku z opornym współnikiem idzie jak po grudzie.

Długo biedziła się, aby przeliczyć kilometry na mile, lecz wreszcie uzmysłowiła sobie, że Bindaburra jest ogromną posiadłością.

- Nie wiedziałam, że tu tyle ziemi...

- Może jednak dociera do pani, że jej pobyt tutaj jest niemożliwy?

- Nie dociera - rzekła z uporem.

- Ale tu nie ma miejsca dla osoby - obrzucił ją taksującym spojrzeniem - która lubi siedzieć beczynninie, przekonana, że jest ozdobą.

- Pan mnie obraża! Nigdy nie siedzę beczynninie i jestem przyzwyczajona do pracy.

- Naprawdę? - Nie zmienił wyrazu twarzy. - Można wiedzieć, do jakiej?

- Jestem aktorką.

- Ach, aktorką! Nader przydatny zawód! - Robił się coraz bardziej złośliwy. - Pytałem o prawdziwą pracę.

- Granie w teatrze też jest pracą. I to o wiele cięższą, niż wydaje się ludziom, którzy widzą tylko efekty.

- Pani wie lepiej... Ale to i tak nie jest doświadczenie przydatne przy hodowli bydła. Chyba przyzna mi pani rację?

- Mogę się nauczyć.

- Nie mówimy o roli w jakimś sztuczyle! - Po lewym policzku przebiegło mu nerwowe drgnienie. - Pan Meadows przez całe życie ciężko harował, bo chciał, żeby Bindaburra była wzorowym majątkiem. Bardzo szanowałem pani wuja, więc nie pozwolę, żeby zmarnowano jego dzieło. I nie chcę, żeby przepadło wszystko, co sam tu zainwestowałem. Między innymi dlatego zająłem się tym „gospodarstwem” i doskonale sobie poradzę bez pomocy takiej „specjalistki” jak pani!

- A ja bardzo kochałam wuja, więc nie pozwolę, żeby mnie wyrzucono z jego domu - syknęła rozgniewana. - Co z innymi majątkami, które pan posiada? Jaką mam gwarancję, że nie zajmie się pan tamtymi, a Bindaburrę zaniedba?

Anderson zacisnął pięści i lekko poczerwieniał.

- Teraz pani mnie obraża! Nie wchodzi w grę najmniejsze nawet zaniedbanie, bo wszędzie mam zastępców, którzy trzymają rękę na pulsie. Już poczyniłem pierwsze kroki, żeby przenieść się tu na stałe...

- O, to i pan czasem działa pochopnie. Trzeba było poczekać, aż się pan dowie, co postanowię.

- Nawet mi przez myśl nie przeszło, że pani może mieć jakieś inne plany poza sprzedażą - wycedził jadowym tonem. - Nie przypuszczałem, że pani rzuci wszystko i w te pędy przyleci, żeby zobaczyć, co krewny pani zostawił.

- Wcale tak nie było! - krzyknęła, dotknięta do żywego.

- Niestety, w moich oczach tak to wygląda. Nie znaliście Billa Meadowsa przez czterdzieści lat, dopiero sam musiał was odszukać! Dowiedzieliście się, że jest bogaty, więc zaczęliście koło niego skakać. Wiem, wiem, potem często dostawał listy, ale dziwne, że utrzymywaliście z nim kontakt

dopiero od chwili, gdy okazało się, że może coś od niego skapnąć. No i skapnęło.

Odstawiła kubek tak gwałtownie, że rozlała herbatę.

- Powtarzam jeszcze raz - zawołała oburzona - że nie miałam pojęcia, ile Bindaburra jest warta!

- Hmm... Na dowód mam tylko pani słowo.

- No i musi panu taki dowód wystarczyć.

- A pani musi uwierzyć mojemu słowu - obstawał przy swoim. - Pan Meadows chciał mnie zostawić Bindaburrę.

Przez minutę mierzyli się wrogim spojrzeniem. Pierwsza odezwała się Darcy:

- Twierdzi pan, że ma inne posiadłości. Po co panu jeszcze jedna?

Anderson zawahał się, nim odpowiedział:

- Bindaburra jest wyjątkowa i czekałam na nią bardzo długo. Chcę mieć całość i zrobić wszystko, żeby ją dostać. Jeśli to znaczy, że będę musiał słono przepłacić za coś, co prawnie do mnie należy, zrobię i to. Nie zniżę się do handryczenia z panią.

- Nie mam zwyczaju się handryczyć! - Zaperzyła się i poczerwieniała. - Czemu pan twierdzi, że Bindaburra prawnie należy się panu? Gdyby wuj chciał, żeby pan tu osiadł, zapisałby ją panu, a nie mnie. Wcale nie przyjechałam, żeby zobaczyć, co mi „skapnęło”, jak się pan wyraził. Czułam, że choć tyle jestem winna wujowi. Jeśli mnie ją zapisał, to znaczy, że chciał, żebym ja ją miała, a nie pan. Nie oddam jej tylko dlatego, że takie jest pańskie widzimisię. I nieważne, jak korzystna będzie pańska oferta.

- Piękne słowa, ale dlaczego nie przyjmuje pani do wiadomości faktów? - Rozgniewany zdusił w rękę puszkę po

piwie. - Hodowla bydła nie jest zajęciem odpowiednim dla aktorki. Życie tu jest ciężkie, bez wygod i zdana na samą siebie, nie wytrzymałaby pani nawet tygodnia.

- Może ma pan rację, ale i tak nie dam się odstraszyć i ani myślę zaraz sprzedawać. - Wypiła resztę herbaty i hałaśliwie odsunęła krzesło. - Dał mi pan jasno do zrozumienia, że nie życzy sobie, bym tu została, ale nie pozbędzie się mnie pan tak łatwo. Możliwe, że zdecyduję się na sprzedaż, ale w odpowiednim czasie sama podejmę stosowną decyzję. Na razie zamierzam tu zostać, czy pan chce, czy nie. Radzę się z tym pogodzić - dodała i wyszła.

W nocy długo nie mogła zasnąć, gdyż rozmyślała o tym, w co się wplątała. Na dworze było mokro i smutno, w domu zimno i nieprzytulnie. Bała się, że utknęła nie wiadomo na jak długo w miejscu, gdzie diabeł mówi dobranoc. I znalazła się pod jednym dachem z człowiekiem, który ani trochę jej nie ufa i czuje do niej antypatię. Wiedziała, że rozsądna osoba przyjąłaby ofertę z pocałowaniem ręki i czym prędzej wróciła do swego życia i znajomych. Prawdę powiedziawszy, nikt rozsądny nie wybiera się na koniec świata bez zastanowienia.

Anderson miał stuprocentową rację, mówiąc, że Bindaburra nie jest miejscem dla niej. Jako aktorka potrzebowała światła, muzyki, widzów, wielbicieli. Jeden Australijczyk nie wystarczy, tym bardziej że nie zdradzał najmniejszej chęci, aby ją podziwiać lub oklaskiwać. Żałowała, że nie może zadzwonić do przyjaciół, aby zasięgnąć ich rady. Bardzo brakowało jej telefonu, bez którego dotychczas nie wyobrażała sobie życia.

Podciągnęła koc pod brodę, przewróciła się na bok i wbiła

wzrok w nieprzeniknioną ciemność. Na pierwszy rzut oka Anderson wydawał się przeciętnym typem farmera; był szczupły, ogorzały i miał powolne, oszczędne ruchy. Lecz jego przenikliwe oczy i nieco wzgardliwe usta nie pasowały do stereotypu.

Przewróciła się na drugi bok. Analizując usposobienie niespodziewanego współnika, doszła do wniosku, że jest arogancki i nieprzyjemny. Zazgrzytała zębami, gdy przypomniała sobie, z jaką pogardą wyrażał się o stosunku rodziny do wuja. Prawdą jest, że nie kontaktowano się z nim przez prawie pół wieku, lecz tylko dlatego, że nikt nie wiedział, czy Bill Meadows żyje. W 1937 roku, po burzliwej kłótni z ojcem, Bill wyjechał do Australii i po śmierci matki słuch o nim zaginął. Dopiero przed dwoma laty nagle zjawił się w domu rodzinnym, który obecnie zajmowali rodzice Darcy. Zaskoczenie było ogromne, lecz przyjęto gościa serdecznie, z otwartymi ramionami. Darcy początkowo nie mogła uwierzyć, że krępy Australijczyk z zawadiacką fantazją jest synem dawno zmarłego dziadka, którego zachowała w pamięci jako człowieka sztywnego, bez poczucia humoru.

Rodzice nie mogli poświęcić gościowi zbyt wiele czasu, więc zajęła się nim bratanica. Starszy pan i młoda kobieta bardzo się różnili, a mimo to znaleźli wspólny język i, ku zaskoczeniu wszystkich, siebie nie wyłączając, doskonale czuli się w swoim towarzystwie. Darcy bez skrępowania zabierała wuja na przyjęcia i przedstawiała znajomym. Starszy pan początkowo był speszony i nieufny, lecz później oczarowany niewymuszonymi kontaktami z młodymi ludźmi.

Wspominając teraz wuja, doszła do wniosku, że decyzja



o przyjeździe była słuszna. Wuj bardzo chciał, aby zobaczyła, a może i polubiła Bindaburrę. Zdawała sobie sprawę, że nie jest w stanie zająć się takim majątkiem, lecz z właściwym sobie uporem postanowiła, że potulnie nie odda swej części. Wiedziała, że będzie musiała ją sprzedać, ale ponieważ z natury była przekorna, uznała, że na razie ma prawo tu mieszkać, a Andersonowi nie zaszkodzi, jeśli poczeka w niepewności.

Długo przewracała się z boku na bok, nim zasnęła ciężkim, niespokojnym snem, po którym obudziła się rozbita. Ponurym okiem spojrzała na ścianę deszczu i niechętnie wstała. Narzuciła stary ojcowski szlafrok, podniszczony i miejscami przetarty, w którym czuła się najlepiej. Zapomniała zabrać rannych pantofli, więc wyszła z pokoju boso.

W kuchni paliło się światło. Anderson stał przy oknie, lecz odwrócił się na odgłos kroków. Darcy miała zapuchnięte powieki, potargane włosy, szlafrok byle jak zawiązany. Rano nigdy nie była w najlepszej formie. Ziewając i przecierając oczy kułakiem, mruknęła:

- Dzień dobry.

Anderson ostentacyjnie spojrzał na zegarek i burknął:

- Jeśli chce pani uczyć się i rozwijać, trzeba będzie wstać trochę wcześniej.

- Przecież dopiero wpół do dziesiątej.

- Za kwadrans dziesiąta.

- To tak niewiele po wpół. - Otworzyła szafkę koło pieca.

- Jest świeża kawa?

- Wątpię. Pan Meadows żył bardzo skromnie i oszczędnie. Jeśli szuka pani luksusów, wybrała się pod zły adres. Rozpuszczalna jest w szafce obok. Zje pani śniadanie?

- Nie! - Potrząsnęła lokami. - O tej porze piję tylko ka-

wę. Ale proszę się mną nie krepować i spokojnie jeść. - Dostrzegła błysk rozbawienia w jego oczach. - O co chodzi?

- Uprzejmie dziękuję, ale już jadłem. Cztery godziny temu, przed wyjazdem w teren. O tej porze piję tylko herbatę.

Odliczyła cztery godziny i zawołała z niedowierzaniem:

- Jadł pan śniadanie o wpół do szóstej?

- Tak. Jeśli pani naprawdę ma zamiar tu zostać, radzę się na to nastawić. A może po dobrze przespanej nocy widzi pani naszą sporną kwestię w innym świetle?

- Nie zmieniałam zdania, jeśli o to pan pyta.

W skrytości ducha zwątpiła, czy zdoła dostosować się do ostrego reżimu, wymagającego wstawania o piątej. Skrzywiła się na myśl o śniadaniu przed świtem.

Stopy jej zmarzły, więc prędko nalala kawy, usiadła przy stole, podwinęła zziębnięte nogi pod siebie i objęła kubek zgrabiałymi palcami.

- Myślałam, że macie tropikalny klimat, a nie podbiegunowy.

- To środek zimy - rzekł chłodno. - Niech się pani cieszy, że jest, jak jest.

- Czemu?

- Jako posiadaczka ziemiska będzie pani modlić się o deszcz. Brak opadów oznacza brak paszy dla bydła, a jeśli zwierząt nie wykarmimy, oboje pójdziemy z torbami.

Odwróciła od niego wzrok i popatrzyła na strugi spływające z dachu. Pomyślała z żalem, że w Anglii jest lato, ludzie rozebrani wygrzewają się w słońcu, siedzą w ogrodzie, boso chodzą po trawie. Rozgoryczona zapomniała, jak często tam pada.

Anderson usiadł przy stole, więc przyjrzała mu się z bliska

i ogarnął ją niepokój. W dziennym świetle wyglądał masywniej i miał wydatniejsze rysy. Czuło się drzemiącą w nim siłę, ale był spokojny, opanowany, można nawet powiedzieć, że skupiony.

Wilgotna twarz i mokre włosy świadczyły, że wrócił z dworu. Krótkie, gęste i ciemne rzęsy osobliwie kontrastowały z niezwykle jasnymi, przenikliwymi oczami. Darcy poczuła zimny dreszcz na plecach, więc szczerzej otuliła się szlafrokiem.

- Jak długo pani tu będzie?

- Tak długo, jak trzeba. - Wyprostowała się. - Bilet powrotny mam za miesiąc, ale mogę przełożyć, jeśli uznam, że powinnam zostać dłużej.

- Nie sądziłem, że wzięta aktorka może pozwolić sobie na długą nieobecność.

- Tak się złożyło, że jestem chwilowo wolna.

Dumnie uniosła głowę, aby nie zdradzić, że jest to drażliwy temat. Miała kompleks na tym punkcie, ponieważ sztuka, w której zagrała główną rolę, była wystawiana zaledwie przez tydzień.

- Aha. - Podejrzenie załśniły mu oczy. - Czyli pani... jak gdyby... odpoczywa.

- Można i tak to nazwać - przyznała lodowatym tonem.

- Nie boi się pani, że akurat podczas „urlopu” trafi się jakaś wspaniała rola?

Za nic na świecie nie przyznałaby się, że to było bardzo mało prawdopodobne. Przez ostatnie dwa miesiące całymi dniami siedziała przy telefonie, lecz nikt nie dzwonił z propozycją interesującej roli. Z natury była niepoprawną optymistką, ale już zaczynała wpadać w depresję. Wiedziała aż

nadto dobrze, że nic nie straci, lecz wolałaby Anderson myślał, że ma do czynienia z wielką artystką.

- Zawiadomię mojego agenta, gdzie ma mnie szukać - odparła wyniośle.

- Mam nadzieję, że potrafi przysyłać wiadomości drogą radiową - zauważył cierpko. - Pani wuj nie dorobił się telefonu.

- Uprzedzę agenta. - Udała, że nie widzi sceptycyzmu malującego się na jego twarzy. - Tak się składa, że mogę zostać, jak długo zechcę.

- Czyli nie namyśliła się pani co do sprzedaży?

- Nie podjęłam żadnej decyzji. A właściwie postanowiłam, że w tej sprawie na razie nie zmienię zdania.

- Tego się spodziewałem. - Westchnął i zrezygnowany machnął ręką. - Niedużo ma pani wspólnego ze swym wujem, ale niewątpliwie jest tak samo uparta jak on. Wobec tego nie będę walić głową o mur.

- O? - Wystraszyła się, że on coś knuje.

- Proponuję rozejm i okres próbny. Objechałem teren i przekonałem się, że wody nadal przybierają, czyli jesteśmy tu uwięzieni co najmniej na kilka dni. Wypadałoby przeżyć je bez niesnasek, więc trzeba ustalić modus vivendi.

- Co to znaczy?

- Sposób współżycia, który musimy sobie wypracować. Mamy różne zdania na temat planów pani wuja co do Bindaburry i jest jasne, że żadne z nas nie ustąpi. - Przyjrzał się jej uważnie. - Wczoraj wystartowaliśmy źle, bo pani była zmęczona podróżą, a ja zirytowany perspektywą posiadania takiej współniczki. Nie przypadliśmy sobie do gustu i nawzajem podejrzewamy się o złe intencje.

Nie była przyzwyczajona do zbytnej szczerości, ponieważ aktorzy rzadko mówią prawdę bez ogródek. Zrobiło się jej przykro, że nie podoba się Andersonowi, więc w milczeniu skinęła głową.

- Proponuję, żebyśmy zaczęli od początku - podjął cierpliwie. - Bilet zarezerwowała pani za miesiąc, więc wcześniej nie mogę jej stąd wyprosić. I skoro z niepojętych dla mnie powodów uparła się pani, żeby zostać, zapomnijmy na razie o tym, czego pan Meadows pragnął. Musimy dołożyć starań, żeby jakoś ten okres przetrwać.

- A jeśli zostaną dłużej?

- Chyba w ciągu miesiąca przekona się pani, że najlepiej odstąpić mi swoją część i wyjechać.

- Co będzie, jeśli się nie przekonam?

- Wtedy jeszcze raz sprawę przedyskutujemy. Jeśli zgadza się pani na moją propozycję, od dzisiaj będziemy na równych prawach. Czyli nie będzie pani gościem, trzeba zakasać rękawy i podjąć się pewnych obowiązków. Zostaje pani, więc musi pracować. A jeśli po miesiącu zechce pani zostać dłużej, wtedy... przyznam się, że źle panią oceniłem.

Miała niejasne uczucie, że propozycja jest dla niej niezbyt korzystna, lecz nie znalazła konkretnych zastrzeżeń. Wypadało więc ją przyjąć i nie wykręcać się od pracy. Żałowała, że chwaliła się, iż planowała sama zarządzać Bindaburra, więc Anderson przydzielił jej zadania nie do wykonania.

- Czy będę musiała chwycać konie na łąso i je ujeżdżać?

- spytała zaniepokojona.

- Ma pani wolną rękę, ale mnie nie o to chodzi.

- A o co?

- Pan Meadows zatrudnił kobietę, która dla wszystkich

gotowała i dbała o jaki taki ład w domu. Jeśli podejmie się pani gotowania dla nas, będzie to prawdziwa pomoc, a nie tylko symboliczny udział w obowiązkach.

W pierwszej chwili chciała się obrazić, że przydzielił jej zadanie tradycyjnie należące do kobiet, lecz po namyśle uznała, że przyjemniej jest pracować w suchej kuchni niż na mokrym polu.

- Nie jestem zbyt dobrą kucharką - ostrzegła.

Prawdę powiedziawszy, w ogóle nie umiała gotować.

- Ostatnio żywił nas Darren, a od niego nietrudno być lepszą. Nie liczymy na żadne wyszukane potrawy. Wystarczy dobra pieczeń albo gulasz. Placek też byłby mile widziany, choćby najprostszy.

- Tyle chyba potrafię.

Spodobał się jej pomysł z prowadzeniem domu. Ucieszyło ją, że zajmie się czymś konkretnym, choćby tylko prozaicznym gotowaniem i sprząaniem. Była przekonana, że wuj życzyłby sobie, aby trochę pomieszkała w jego umiłowanej Bindaburze. Przede wszystkim zaś chciała udowodnić Andersonowi, że jest coś warta i przekonać go, że wuj słusznie miał do niej zaufanie. Postanowiła zrobić coś dla zmarłego i dla siebie. Wrócił wrodzony optymizm, więc uśmiechnęła się promiennie i jej oczy rozświecił zapal.

- Dobrze, zgadzam się.

- Są jeszcze inne kwestie, nad którymi należy się zastanowić. - Wyglądał, jakby jej zgoda go rozczarowała.

- Jakie?

- Choćby ta, czy naprawdę stać panią na pobyt tutaj.

Wprawdzie nie będzie pani nic płacić, ale i nic nie zarobi.

Nie szkoda marnować wspaniałych szans w Londynie, żeby

sprzątać i gotować w Bindaburze? Tylko po to, żeby coś mi udowodnić?

- O to niech pana głowa nie boli. Nie mam żadnych zobowiązań. Mieszkanie wynajmuję razem z koleżanką i płacimy niewiele, bo należy do jej ojca, więc ona poradzi sobie beze mnie. A jeśli chodzi o pracę... agent zawiadomi mnie, jeśli trafi się jakaś atrakcyjna oferta.

- Hmm. - Patrzył na nią sceptycznie. - Niech się pani zastanowi i nad tym, że musi mieszkać ze mną.

Uzmysłowiła sobie, że znajdują się w dość dwuznacznej sytuacji. Prędko spuściła nogi na podłogę i mocniej zawiązała pasek. Wcześniej nie pomyślała, że niezbyt stosowne jest występowanie wobec obcego człowieka w samym szlafroku, bez bielizny. Żałowała, że napomknął o tym, iż są i będą sam na sam. Przed chwilą traktowała go bezosobowo, a teraz nie mogła oderwać oczu od jego rąk. Wyobraziła sobie, że mógłby ją nimi obejmować. Mogłoby jeść śniadanie po nocy spędzonej razem, trochę zaspani, ale uśmiechnięci i podnieceni.

Zrobiło jej się gorąco na całym ciele i sucho w gardle. Przelknęła z trudem, spojrzała na niego spod rzęs i szepnęła drżącym głosem:

- Chyba... nie będziemy... sami? Tamci ludzie też tu mieszkają, prawda?

- Nie. Wspólnie jemy posiłki, ale po kolacji oni idą do siebie.

- O! - Wbiła wzrok w pusty kubek. - Nie mógłby pan spać u nich?

- Mógłbym, ale nie mam ochoty - odparł cierpko i wstał.  
- Bindaburra ma być moim domem, więc nie widzę powodu, dla którego miałbym się usunąć, żeby pani dogodzić.

- Nie ma się o co złościć. To pan poruszył ten temat.  
- Chcę, żeby pani zastanowiła się nad tym, co ją czeka.  
Decyduje się pani bez namysłu, a potem będzie miała panieńskie skrupuły.  
- Nie mam żadnych skrupułów!  
- Naprawdę? To czemu proponuje mi pani, żebym się wyniósł z własnego domu?  
- Myślałam, że... że byłoby to... mniej krępujące.  
- Dla kogo?  
- No, może nie krępujące, ale...  
- Nie ma pani do mnie zaufania? - zakpił.  
- Nie! - Wystraszyła się, że ją źle zrozumiał. - Nie o to chodzi. To znaczy, że pan... - Urwała, ponieważ miała w głowie pustkę i nie wiedziała, co powiedzieć. - Ja...  
- A może pani sobie nie ufa?  
- Też coś! - Zerwała się z miejsca i wzięła pod boki. Wyglądała pięknie z roziskrzonymi oczami i bujnymi włosami, spływającymi na ramiona. - Pan mnie nie pociąga.  
- Dlaczego? - spytał, podchodząc do niej.  
- Dlaczego? - powtórzyła bezmyślnie. - Bo... bo... nie jest pan w moim typie, a nawet gdyby był... jestem już z kimś... związana - zakończyła pośpiesznie.  
Stanął tuż przed nią i objął ją w pól.  
- Jak on się nazywa?  
- Se...Sebastian - wyjąkała, usiłując się odsunąć.  
- Też aktor?  
- Tak.  
- Jak bardzo jest pani „związana”?  
- Kocham go. - W duchu poprawiła się, że niedawno naprawdę go kochała.



- On panią też?

- Tak - odparła po chwili wahania.

Chciała go odepchnąć, ale cofnęła ręce, gdy pod palcami poczuła grę jego twardych mięśni.

- Mówi to pani bez przekonania.

Gdy uniosła głowę i spojrzała mu w oczy, uśmiechnął się ledwo dostrzegalnie.

- Jestem pewna jego miłości, a on ma do mnie pełne zaufanie.

- Naprawdę?

Bez pośpiechu przyciągnął ją i przytulił, a wtedy poczuła niepokój i oczekiwanie.

- Moim zdaniem ten cały Sebastian jest bardzo lekko-myślny. Ja na jego miejscu nie igrałbym z losem i nie spuszczałbym z oka tak wspaniałej kobiety. A już na pewno nie pozwoliłbym jej wyjechać na drugi koniec świata.

- Wie, że nie spojrzę na innego - szepnęła.

- Skąd taki pewny? Może sprawdzimy, czy się nie myli? Ujął jej twarz w dłonie i delikatnie pocałował.





## ROZDZIAŁ TRZECI

Dotyk jego ust sprawił, że straciła równowagę i spokój ducha. Miotaly nią sprzeczne uczucia i miała wrażenie, że podłoga się rozstąpiła, więc wpada w czeluść. Aby nie zgiąć, kurczowo schwyciła się gorsu jego koszuli.

Bardzo ją dziwiło, że oschły mężczyzna ma gorące, namiętne usta. I nie pojmowała, skąd bierze się dziwne wrażenie, że to nie jest ich pierwszy pocałunek. Przypomniało się jej uczucie, jakie ogarnęło ją, gdy weszła do kuchni. Wtedy zdawało się jej, że wkracza w znany świat. Pocałunek też wydawał się czymś znanym. Czuła się, jakby powróciła na swoje miejsce i jakby stanowili jedno ciało, którego nie można rozdzielić. Zalała ją fala cudownego uniesienia.

Nie zdając sobie sprawy z tego, co robi, objęła go za szyję i mocno się przytuliła. Jego ciało było jak skała, której nic nie poruszy. Pod wpływem pieśczoł zapomniała o wzajemnych pretensjach i o lodowatej podłodze pod bosymi stopami. Istniały jedynie jego usta i dłonie, których dotyk palił ją przez jedwab szlafroka. Podniecenie zagłuszyło głos, który nakazywał opamiętanie.

Cooper na moment oderwał się od jej ust, a potem pocałował jeszcze namiętniej i gwałtowniej. Wsunął dłonie pod szlafrok i delikatnie pogładził jej nagą skórę, a wtedy prze-

szył ją rozkoszny dreszcz i poczuła, że za chwilę utonie w morzu pożądania.

Nie słyszała zduszonego okrzyku Coopera, który powoli wyciągnął ręce spod szlafroka i się odsunął. Zanim zorientowała się, co zaszło, zawiązał pasek. Na ustach miał niepewny uśmiech.

- Sebastian chyba popełnił błąd - rzekł cicho. - Bardzo duży błąd.

Poczuła się tak, jakby oblał ją zimną wodą. Przestraszyła się, że zbyt żywiłowo zareagowała na pieszczoty, zbladła i go odepchnęła. Poprawiła szlafrok trzęsącymi się palcami i szepnęła drżącym głosem:

- To typowo męski podstęp.

- A szlafrok włożony na nagie ciało to podstęp kobiecy.

Oparł się o stół i spoglądał na nią ironicznym wzrokiem. Nie mogła uwierzyć, że ów chłodny, opanowany mężczyzna, patrzący na nią z przymrużeniem oka, jest tym samym, który wtulał twarz w jej włosy i tak czule ją całował. Wpatrywała się w niego rozszerzonymi i pociemniałymi oczami. Nie pojmowała, jak można po namiętym pocałunku wyglądać tak obojętnie. Czy był głazem pozbawionym uczuć?

Z wysiłkiem opanowała się, aby nie zauważył, że jest rozdzygotana.

- Wiem, jaki masz cel - rzekła dość pewnym głosem.

- Zależy ci, żebym wyjechała i nie cofniesz się przed niczym, byłabym wyniosła się stąd jak najprędzej.

- Gdybym do tego dążył, nie proponowałbym zawieszania broni na miesiąc - stwierdził logicznie. - Ale skoro podpowiadasz mi taki sposób, może z niego skorzystam. Czy

przekonałem cię, że najlepiej będzie, jeśli wyjedziesz, gdy tylko opadną wody?

Wrodzona przekora kazała jej natychmiast zaprzeczyć.

- Nie! Jeśli myślisz, że byle pocałunek mnie wystraszy i ucieknę, gdzie pieprz rośnie, to grubo się mylisz.

- Czyli nadal jesteś gotowa przystać na okres próbny? Podejrzewała, że on wyprowadza ją w pole i najchętniej wycofałaby się. To jednak oznaczałoby, że musi od razu wyjechać, a nie miała zamiaru ustąpić tak łatwo.

- Oczywiście. Ale pod warunkiem, że nie będzie takich... podchodów... jak przed chwilą.

- O, dopiero co twierdziłaś, że byle pocałunek ci nie przeszkadza.

- Bo nie przeszkadza - skłamała. - Ale to nie znaczy, że mi się podoba.

- Doprawdy? Wydawało mi się, że byłaś zachwycona. Ja na pewno byłem.

- Wolałabym, żeby to się nie powtórzyło.

- Hm, ostatecznie mogę obiecać, że więcej cię nie pocałuję - rzekł posłusznie. - Ale pod warunkiem, że mnie nie będziesz prowokować.

- Wcale cię nie prowokowałam! - zawołała oburzona.

- Czyżby? - zdziwił się. - Ja twój strój i zachowanie odebrałem jako prowokację.

- Nic nie poradzę na to, co i jak „odbierasz”.

- Słusznie. - Patrzył na nią bez zażenowania, z rozbawieniem, które coraz bardziej ją drażniło. - Radzę ci jednak, moja mała, żebyś nie paradowała po domu półnago. - I nim zdążyła pomyśleć o ciętej odpowiedzi, dodał urzędowym tonem: - Teraz proponuję, żebyśmy zgodnie z umową zabrali

się do pracy. Skoro jesteśmy na miejscu oboje, dobrze byłoby razem uprzątnąć gabinet twojego wuja. Chyba mi pomożesz? Oczywiście nie w tym stroju.

Wyszła bez słowa, z podniesioną głową. Podczas kąpieli uparcie nachodziły ją wspomnienia pocałunków i pieścizot. Zamknęła oczy, lecz było jeszcze gorzej; widziała Coopera, jego twarz, ręce, muskularne ciało. Czuła się tak, jak gdyby stał obok i nadal ją pieścił.

Ubrała się w dzinsy, lekką bluzkę i obszerny sweter. Aby dodać sobie odwagi, wygłosiła monolog o pokonywaniu trudności, lecz perspektywa miesięcznego pobytu w Bindaburze budziła coraz większy niepokój. Wiedziała, że panowałyby nad sobą łatwiej, gdyby nie wygasła pierwsza miłość. Wtedy inaczej reagowałaby na Coopera, chociaż Sebastian nigdy jej tak nie całował. Postanowiła, że będzie udawała, iż nadal kocha tamtego. Była osobą upartą, a w dodatku przekorną, szczególnie wtedy, gdy spotkała kogoś o równie silnym charakterze. Chciała wytrwać przez cały miesiąc, choćby tylko po to, aby udowodnić Cooperowi, na co ją stać. Wyobraziła sobie, że będzie bardzo użyteczna, więc on zacznie ją błagać, aby została, a wtedy z wielką satysfakcją odmówi mu i wyjedzie.

Była to bardzo pocieszająca myśl i Darcy oczami duszy widziała, jak Anderson pada na kolana, aby ją skłonić do pozostania. Jednak gdy nadszedł moment, by stanąć w obliczu żywego Coopera, wspaniałe obrazy zbladły. Chciała wydawać się opanowana i obojętna, więc musiała przywołać na pomoc cały talent aktorski. Z ociąganiem poszła do gabinetu, znajdującego się na końcu ciemnego korytarza. Mroczny pokój zarzucony był stosami listów, rachunków, katalogów

i czasopism dla rolników. Cooper siedział przy biurku, zajęty porządkowaniem korespondencji.

- Ale śmietnik! Tyle kurzu, że trudno oddychać! - Zmarszczyła nos. - Jak wuj mógł to wytrzymać?

- Nie wiadomo, czy tu pracował. Może tylko otwierał drzwi, wrzucał, co miał w rękę i już go nie było. Stąd taki rozgardiasz. Twój wuj imponował mi fachową wiedzą na temat bydła i gleby, ale nie lubił papierkowej roboty i głowy do interesów raczej nie miał.

- A ty pewno masz? - spytała z jawną ironią.

- Muszę, nie mam wyboru, bo posiadam pięć majątków w tej części Australii i kilka przedsiębiorstw w Adelajdzie.

- Skoro już tyle masz, po co ci Bindaburra?

Szczelniej otuliła się swetrem i podeszła do okna. Woląla nie patrzeć na Coopera, w którego oczach migwały wesołe błyski, jakby wciąż miała na sobie tylko szlafrok. Odwrócona tyłem łatwiej mogła udawać, że jest chłodna i opanowana. Długo zwlekał z odpowiedzią, ale wreszcie zaczął cicho:

- Bindaburra jest związana z historią mojej rodziny. Pradziadek zbudował ten dom w roku 1875 i tu urodził się mój dziadek i ojciec.

- Ty już nie?

- Nie. - Przesunął stos papierów. - Dziadka zrujnowała potworna susza i musiał się wyprzedać. To właśnie wtedy twój wuj kupił od niego Bindaburrę. Mój ojciec przez całe życie nosił zadrę w sercu, bo nie odziedziczył domu, w którym się urodził i nie mógł mi go przekazać w spadku. Naprawdę jest tu kawał naszej historii. Gdy ojciec umierał, obiecałem mu, że jeśli nadarzy się okazja, kupię Bindaburrę dla moich synów.

- O! - Jej serce przeszył ból. - Nie wiedziałam, że masz dzieci.

- Mówiłem teoretycznie. Ale gdybym miał, chciałbym, żeby tutaj się chowały.

- Aha.

Zaczęła się zastanawiać, jakim będzie mężem i jaką kobietę wybierze na żonę. Z przykrością pomyślała, że na pewno nie będzie podobna do niej, ponieważ z nią nawet przez miesiąc nie chce mieszkać pod jednym dachem. Otrząsnęła się z deprymujących myśli i spytała rzeczowo:

- Za co najpierw mam się wziąć?

- Proponuję, żebyśmy stopniowo przenieśli wszystko do innego pokoju. - Wstał zza biurka. - Tu nie ma gdzie się ruszyć, więc łatwiej będzie sortować papiery gdzie indziej. Chodź, pokażę ci.

Zaprowadził ją do dużego pokoju, którego okna wychodziły na werandę biegnącą wzdłuż bocznej ściany domu. Stara szafa i komoda stanowiły jedyne umeblowanie.

- Ciemno tu - mruknęła niezadowolona. - Nie ma jaśniejszego pomieszczenia?

- Gdy na dworze jest plus pięćdziesiąt stopni, każdy ucieka od słońca. Tutaj tak należy budować domy, żeby było w nich możliwie chłodno.

- Rozumiem... Ale i tak uważam, że jest tu za ciemno do pracy.

- Ośmielę się zauważyć, że masz znikomą szansę, żeby z niego korzystać, więc nie powinno cię to obchodzić.

- A może skorzystam - rzuciła zuchowato.

- Dobrze, już dobrze, niech będzie na twoje. - Westchnął zrezygnowany. - Ale to nie zmienia faktu, że dom tak zbu-

dowano, żeby latem słońce nie dokuczało i nic jaśniejszego nie znajdziesz.

- Wygląda, jakby od stu lat nikt tu nie sprzątał.

Przejechała palcem po komodzie i z obrzydzeniem spojrzała na grubą warstwę kurzu.

- Ta część domu stała nie używana. Pierwotnie urządzono tu sypialnie, ale twojemu wujowi nie były potrzebne.

Nic dziwnego, że dom sprawiał wrażenie pustego i opuszczonego. Był mądrze zaprojektowany i solidnie zbudowany, lecz należało go wyszorować i pomalować. JPrzed wszystkim

jednak potrzebni byli mieszkańcy. Brakowało w nim rodziny z dziećmi, które wypełniłyby smutne i puste pokoje radością i wrzawą.

- Proponuję, żebyś ty nadal porządkował papiery, a ja tutaj z grubsza posprzątam.

Spojrzał na nią z aprobatą, potakująco skinął głową i wrócił do gabinetu. Darcy energicznie zabrała się do mycia i pucowania między innymi po to, by zagłuszyć nurtujący ją niepokój. Irytowało ją, że nie panuje nad sobą i ulega sprzecznym emocjom. Albo była zła na Coopera za to, że ośmiela się ją całować, albo czuła się podniecona jak pensjonarka, na którą łaskawie spojrział przystojny kawaler. Trochę pocieszała się myślą, że spowodowała to raptowna zmiana klimatu.

Na ogół angażowała się we wszystko, co robiła, więc i teraz sprzątała z werwą. Bez namysłu wrzuciła do kosza zakurzone i poplamione rolety. Umyła ściany i okna, odświeżyła komodę oraz szafę, wyszorowała podłogę.

Zaskoczyło ją, że prozaiczne zajęcia mogą sprawiać przyjemność. Z dziwną satysfakcją ścierała wieloletni kurz i usuwała pajęczyny. Najpierw podśpiewywała sobie melodie



z musicalu, w którym wystąpiła w ostatnim rzędzie chóru. Musical nie miał powodzenia, gdyż teksty były fatalne, a melodie słabe. Zmieniła repertuar i zaczęła występować arie z operetek.

Straciła rachubę czasu, a w dodatku śpiewała coraz głośniej, nie zdając sobie sprawy z tego, że jej głos dociera aż do gabinetu. Po zakończeniu szorowania odtańczyła zaimprovizowany taniec z miotłą w roli partnera. Rozbawiła ją myśl, że miotła jest bodaj lepsza niż niektórzy mężczyźni, z którymi przyszło jej tańczyć. Roześmiana okręciła się jeszcze raz i... zamarła.

Cooper, stojący na progu, przyglądał się jej z uśmiechem na ustach. Zaczął bić brawo, co odebrała jako szyderstwo. Wiedziała, że jest brudna jak nieboskie stworzenie, zaczerwieniona z wysiłku i rozczochrana. Na policzku miała czarną smugę, która została, gdy brudną ręką otarła pot.

- Nie zauważyłam, że przyszedłeś- powiedziała zdyszana, czym prędzej odstawiając miotłę i obciążając bluzkę.

- Bardzo podobał mi się występ. - Drgnęły mu kąciki ust, a wokół oczu pojawiły się kurze łapki. - Tylko szkoda, że nie miałś lepszego partnera.

- Czasem trzeba zadowolić się takim, jakiego zesłał los, prawda?

- Święta prawda. - Rozejrzał się po pokoju. - Aż dziw, że odwaliałaś taki kawał dobrej roboty.

Nie chcąc pokazać po sobie, jak bardzo ucieszyła ją pochwała, mruknęła z udawaną pretensją:

- Nie rozumiem, dlaczego się dziwisz. Przecież mówiłam, że umiem pracować.

- Ale nie myślałem, że masz doświadczenie w zajęciach praktycznych.

- Nie myśl o tym, na czym się nie znasz. Aktorzy muszą być przygotowani do odegrania każdej roli. W jednej reklamie wystąpiłam jako zahukana i poniewierana kuchta, na kolanach szorująca podłogę. Moja elegancka sąsiadka myła reklamowaną gąbką na kiju, więc nawet nie musiała się schylać. Nie masz pojęcia, ile było prób, zanim wypadłam dobrze. Nie przypuszczałam, że tamto doświadczenie kiedyś się przyda, ale wtedy nauczyłam się, jak można wygodnie klęczeć.

- Mam nadzieję, że grałaś też rolę dobrej kucharki - rzekł rozbawiony.

- Niestety, nie - przyznała się z posepną miną. - Rzadko występuję jako kura domowa.

- A to czemu? - Obrzucił ją uważnym spojrzeniem od stóp do głów i rozbłysły mu oczy. - Rzeczywiście nie jesteś najlepszym materiałem do roli zahukanej żony.

- Dziwne, ale reżyser powiedział to samo.

- Coś podobnego! - Roześmiał się głośno. - Teraz odegrałaś rolę doskonałej sprzątaczkii i uczciwie zarobiłaś na lunch. Zapraszam, bo kanapki już gotowe.

Zmiana, jaka zaszła w nim, gdy się śmiał, była zdumiewająca. Miał mocno opaloną twarz, w której błyskały olśniewająco białe zęby. Roześmiany wyglądał, jakby był innym człowiekiem. Na jego dźwięczny, wibrujący śmiech zareagowała drżeniem całego ciała.

Zorientowała się, że patrzy na nią pytająco, więc widocznie czekał, aby coś powiedziała. Na sekundę ogarnęło ją przerażenie, że nie wie, o czym była mowa, lecz w porę sobie przypomniała, że o kanapkach.

- Zdaje się, że to ja mam być kucharką.  
- Nie chciałem przerywać ci w połowie przedstawienia.  
Możesz zaprezentować swój talent, przygotowując kolację.  
Jedli przy biurku, z którego usunął część papierów. Darcy, zmęczona i zgłodniała, z przyjemnością usiadła na starym skórzanym fotelu. Kanapki z grubymi plastrami mięsa smakowały jak delicje. Spoglądając na zaśmiecony pokój, zapytała niepewnie:

- Od czego tu zacząć? Toż to stajnia Augiasza.

Mimo to wołała patrzeć na sterty papierów niż na Coopera, który wprawdzie przestał się uśmiechać, ale bardzo ją rozpraszał. Jedno spojrzenie na niego wystarczało, by przypominały się pocałunki.

- Najlepiej od biurka. Gdy wszystko z niego wyciągnę, wstawimy je do tamtego pokoju i stopniowo będziemy przenosić uporządkowane papiery tutaj. Znalazłem dużo osobistych dokumentów. - Palcem wskazał drewniane pudło na brzegu biurka. - Może zechcesz przejrzeć?

- A co tam jest? - zapytała, przysuwając pudło do siebie.

- Jakieś listy, świadectwa, stare zdjęcia i temu podobne szpargały. Między innymi to.

Podał jej fotografię zrobioną w ogrodzie koło domu, na której była z wujem. Spod dużego słomkowego kapelusza patrzyła prosto w obiektyw i uśmiechała się radośnie. Wuj miał zakłopotaną minę.

- Dobrze pamiętam, kiedy nas fotografowano. Kochany wuj... Nie chciał, żebyśmy mu robili zdjęcia, ale przynajmniej

mamy pamiątkę. Wygląda tu jak żywy. Zmienił się ostatnio?

- Nie. Wyglądał tak samo - odparł Cooper. - To ty się zmieniłaś.

- Ja? - Odsunęła fotografię na wyciągnięcie ręki i mrużąc oczy, dokładnie obejrzała. - Moim zdaniem, wyglądam tak samo. Może to sprawa kapelusza? - Oddała zdjęcie. - Przecież dwa lata to nie tak dużo.

- Racja. - Spojrzał na nią przenikliwie. - Ale wtedy wyglądałaś jak młoda dziewczyna, a teraz jesteś dojrzałą kobietą.

Czuła, że oblewa się rumieńcem, więc odwróciła głowę. Już powoli zapominała o pocałunku, gdy okrężną drogą niepotrzebnie go przypomniał. A zatem i on myślał o tym samym; wspomnienie jakby stale przepływało między nimi i łączyło ich niewidzialną nicią.

- Ciekawe, co jeszcze tu jest - rzekła nieswoim głosem. Pochyliła głowę, aby ukryć rumieńce i drżącymi palcami

wyciągnęła plik listów. Na wielu kopertach widniał jej charakter pisma. Wuj uprzedził, że nie lubi pisać i nie przysłał nawet widokówki, lecz ona mimo to regularnie pisała długie listy i opowiadała mu o ludziach, których poznał w Londynie. Miała nadzieję, że sprawiało mu to przyjemność.

Między listami znalazła dużo różnych zdjęć, najnowszych z pobytu w Anglii oraz bardzo starych, pożółkłych i pogniecionych. Wśród nich było wykonane sepią zdjęcie domu rodzinnego, w którym wuj mieszkał do dnia, gdy pokłócił się z ojcem i wyjechał do Australii. Przez czterdzieści lat zapewne nieraz tęsknił za domem swego dzieciństwa.

Na samym spodzie była duża bombonierka.

- A to co? - zdziwiła się. - Zaglądałeś?

- Nie. - Wzruszył ramionami. - Skoro wuj wszystko zapisał tobie, uważałem, że ty powinnaś przejrzeć jego najbardziej osobiste rzeczy.

Otworzyła bombonierkę, w której też były listy, wyblakłe ze starości, oraz zdjęcie młodej kobiety o poważnej twarzy i wielkich oczach. Sądząc po kroju sukni, fotografię zrobiono w latach pięćdziesiątych. Zdjęcie było przedarte na cztery części, ale starannie sklejone.

- Spójrz! Ciekawe, kto to jest.

Cooper odwrócił zdjęcie i przeczytał:

- Violet... Nazwiska brak.

- Na pewno ukochana, którą wuj utracił - zawołała podniecona. - Wszystkie listy są od niej... Biedak! Nawet po tylu latach nie miał serca się z nimi rozstać.

- Twój wuj nie mógł się zdobyć na to, żeby cokolwiek wyrzucić - zauważył Cooper. - Wystarczy rozejrzeć się choćby po tym pokoju.

Nie słuchała go, ponieważ otworzyła pudełeczko, w którym znajdował się lekko pociemniały, lecz nadal bardzo piękny pierścionek. Nie mogła wyobrazić sobie wuja, wybierającego coś tak delikatnego. Pierścionek był bardzo skromny: perełka osadzona między dwoma diamentami. Wsunęła go na palec i drżącym głosem szepnęła:

- Śliczny, prawda? - Przejęta nie dostrzegła ironicznej miny Coopera i ciągnęła: - Wiem, jak to było. Łączyła ich wielka miłość, więc wuj się oświadczył. Musiała go przyjąć, bo kupił pierścionek, ale potem z jakiegoś powodu się rozmyśliła. Może rodzice nie wyrazili zgody i musiała iść do klasztoru... - Ponościła ją fantazja. - Albo... Wiem! Śmiertelnie zachorowała i na łożu śmierci oddała wujowi pierścionek. Wymogła na nim przysięgę, że się ożeni, ale nie spotkał drugiej kobiety, którą mógłby równie gorąco pokochać.

- E, raczej płocho kobietka zmieniła zdanie - przerwał jakby czymś rozdrażniony. - Nie byłby to ani pierwszy, ani ostatni wypadek.

- Chyba nie myślisz, że wyszła za kogoś innego? - spytała rozczarowana, że jej piękna wizja pękła niby przekłuty balon. - Zdradziła wuja Billa?

- Całkiem prawdopodobne. Uważam, że powinnaś pisać sztuki, a nie tylko w nich grać. Zawsze tak fantazjujesz?

- Wcale nie fantazjuję! - zaperzyła się. - Pierścionek, listy, podarta fotografia... to wystarczające dowody. Cokolwiek się stało, wuj miał do końca życia złamane serce. - Oparła brodę na złożonych dłoniach. - Jakie to smutne, że przez tyle lat pielęgnował miłość do Violet i nikomu się nie zwierzał. Nic dziwnego, że pozostał kawalerem.

- Nie ożenił się, bo widział, że doskonale sobie radzi bez kosztów i komplikacji związanych z małżeństwem - cierpko podsumował Cooper. - Pamiętam niektóre jego uwagi, świadczące o tym, że chwalił sobie kawalerski stan.

- Och, robił dobrą minę do złej gry.

- Pleciesz! - Nie chciał przyjąć jej tragicznej wersji. - Wszyscy uważali twojego wuja za człowieka bardzo zadowolonego z życia.

Pomyślała, że podczas jego pobytu w Anglii też odniosła takie wrażenie, ale mimo to powiedziała z uporem:

- Tobie by się nie zwierzał!

- A to czemu? Byłem jego współnikiem, i pod koniec życia znałem go lepiej niż inni.

- Ale nie potrafisz zrozumieć drgnień serca.

- Na jakiej podstawie tak sądzisz?

- No, bo... chyba masz jakieś kłopoty emocjonalne.

- Bzdury wygadujesz! - krzyknął poirytowany. - Doskonale panuję nad sobą i nad moimi uczuciami.
  - Otóż to, aż za dobrze! Musisz nauczyć się ich harmonii, żeby nie przeważały negatywne.
  - Takich bredni uczą was w szkole aktorskiej?
  - To nie brednie - zawołała obrażona. - Jeśli tak dalej pójdzie, skończysz jak biedny wuj.
  - Mógłbym skończyć znacznie gorzej.
  - Mówiłeś, że chcesz mieć dzieci.
  - Nie chcę - prychnął zde gustowany - jeśli to ma oznaczać, że będę zmuszony uczyć się... harmonii uczuć.
  - Żal mi twojej żony. - Spojrzała na niego z politowaniem. - Bardzo żal.
  - Niepotrzebnie. Moja żona będzie miała pełne ręce roboty, więc mało czasu, żeby martwić się o harmonię uczuć - syknął ze złością. - Zakładam, że ten twój wspaniały Sebastian jest wyczulony na każde drgnienie, twojego serca.
  - On jest wyjątkowo wrażliwy i stanowimy harmonijnie dobraną parą. Czasami czuję się tak, jakbyśmy byli jedną duszą i ciałem.
- Powtórzyła ulubiony zwrot Sebastiana, chociaż ostatnio coraz mocniej podejrzewała, że jest wrażliwy jedynie na punkcie swoich uczuć. Powiedziała jednak Cooperowi, że jest zakochana, więc musiała go utwierdzać w tym przekonaniu, aby miał wyrzuty sumienia, że ją pocałował. On jednak patrzył na nią bez śladu wyrzutów sumienia, za to z niesmakiem.
- Dziwne, że mogłaś oderwać się od tak pokrewnej duszy.
  - W naszym związku odległość jest bez znaczenia.
  - Moim zdaniem to żaden związek.

- Co ty możesz wiedzieć - rzekła wyniośle. - Jest cudowny, bo rozumiemy się na poziomie ducha i ciała.
- O, to ciekawe. Więc dlaczego się nie pobraliście?
- Nie potrzebujemy konwencjonalnych więzów.
- Czy to oznacza, że nie wierzysz w małżeństwo?
- Tak... nie... to znaczy wierzę, ale pod warunkiem, że wszystko jest idealne.
- Wmawiasz mi, że Sebastian jest ideałem - mruknął z niewinną miną.
- Ale okoliczności nie są. - Spuściła wzrok. - Niedawno zaangażowano go do teatru telewizji i dostał główną rolę. To może być ta, o której marzy każdy aktor, więc postanowiliśmy, że na razie skoncentrujemy wszystkie siły na robieniu kariery.
- Przyjazd do Bindaburry wygląda mi na dziwny sposób robienia kariery - zauważył z ironią. - A może Sebastian uznał, że będzie miał spokojniejszą głowę, gdy wyjedziesz na drugi koniec świata? Pewno za mocno go rozpraszasz.
- Wcale nie!  
Zerwała się oburzona, a Cooper pokręcił głową.
- Co za mężczyzna z niego? Po co mu dziewczyna, jeśli nie chce mieć wspaniałej rozrywki?
- Nie twoja sprawa! Zresztą nie mam zamiaru dla nikogo być rozrywką!
- Założmy... Ale mimo to dla mnie jesteś.







## ROZDZIAŁ CZWARTY

Poprzedniego dnia najpierw z zapalem odkurzała stare faktury i kwity, a potem pochwaliła się, że umie zrobić pieczeń wołową. Niestety, pieczeń się nie udała, a staroświecki piec przysporzył jej tyle kłopotu, że kolację podała dwie godziny później, niż zaplanowała.

Usiadła do stołu zła, więc gdy zauważyła, że Cooper patrzy na talerz podejrzliwie, wybuchnęła:

- Uprzedzałam, że nie umiem gotować! Szczególnie w kuchni gorszej niż u króla Ćwiczka. Nie ma nawet mikrofalówki!

Uznała brak mikrofalówki za największy minus, ponieważ w Londynie jej wkład pracy polegał na odgrzewaniu kupionych potraw. W związku z tym nie знаła żadnych zasad sztuki kulinarnej i nie potrafiła nic ugotować.

- Może jednak trzeba będzie zatrudnić kucharkę - mruknął Cooper pod nosem.

Darcy zjeżyła się. Z natury była bardzo przekorna, więc nieudana kolacja spotęgowała jej determinację, aby udowodnić, że potrafi nie tylko szorować podłogę. Poza tym bała się, że doświadczona kucharka pogorszy sytuację, gdyż w porównaniu z nią wypadnie beznadziejnie. Nie mogła pogodzić się z faktem, że Cooper uważa ją za istotę bezużyteczną. I nie chciała dopuścić do tego, by miał prawo robić wymówki, że

nie dotrzymuje warunków umowy i nie nadaje się na współpracowniczkę.

- Obejdzimy się bez kucharki - oświadczyła zdecydowanym tonem. - Muszę się przyzwyczaić do tego grata, a wtedy kłopoty znikną. Obiecuję, że śniadanie będzie lepsze.

- Wstaniesz o piątej? - Spojrzał na nią z powątpiewaniem. - Naprawdę chcesz mi przygotować śniadanie?

- Oczywiście.

- Póki jesteśmy sami, moglibyśmy jeść trochę później, I tak nie mogę daleko jeździć.

- Nie. - Jego propozycja rozdrażniła ją. - Zawsze jesz śniadanie o wpół do szóstej i jutro też dostaniesz o tej samej porze.

Rano, gdy zadzwonił budzik, zaczęła przeklinać swą pochopną decyzję. Było ciemno choć oko wykol i zimno jak w psiarni, więc nie miała ochoty wychodzić z ciepłego łóżka. Wyrwana z głębokiego snu, zaczęła po omacku szukać budzika. Zazwyczaj wyłączała i spała dalej. Machnęła ręką, budzik spadł na podłogę, ale zamiast rozlecieć się na kawałki, nadal dzwonił. Musiała wstać i go podnieść. Miała minę jak chmura gradowa i okropny nastrój. Za oknem było czarno. Nie pamiętała, czy kiedykolwiek wstała tak wcześnie i nie rozumiała, dla jakiej idei tak się umartwia.

Podczas sprzątanía sypialni zajrzała do komody i znalazła nieco staroświecką, ale nową pidżamę z grubej bawełny. Dzięki temu tej nocy nie zmarzła. Teraz spieszyła się, nie miała czasu się ubrać, lecz nie chcąc ryzykować takiego stroju jak pierwszego ranka, narzuciła szlafrok na pidżamę.

Cooper, w ciemnozielonej koszuli i dżinsach, uśmiechnął się lekko na widok Darcy w mocno zawiązanym szlafroku i pidżamie zapiętej pod szyję.

- Bardziej nie mogłaś się zakryć? - zażartował. - Tylko brak gęstej woalki.

O tej porze nie miała ani krzty poczucia humoru, więc spojrzała na niego wzrokiem, który mógłby zabić i warknęła:

- Nie życzę sobie historii jak wczorajsza. Zresztą kazałeś mi ubrać się tak, żeby niczego nie było widać.

- Co ja mogę ci kazać? Nie chciałem cię pouczać. -  
Usiadł przy stole. - Powiedziałem tylko, że miałbym spokojniejszą głowę, gdybyś była normalnie ubrana.

- Wszystko jedno, co mówiłeś - odparowała. - Nie mam zamiaru zwracać ci w głowie. Do licha! - krzyknęła, ponieważ źle schwyciła patelnię i się oparzyła. Machając ręką, popatrzyła na Coopera z wyrzutem. - Kto widział trzymać taką starość w domu? Zobacz, co zrobiłeś!

- Ja? - zdziwił się szczerze. - Nie bądź śmieszna. Zabrakło jej konceptu, aby się odciąć. Jego obecność wprawiała ją w nerwowe podniecenie i dlatego wszystko wypadało jej z rąk.

- W takich warunkach i w środku nocy - burknęła - trudno przygotować śniadanie.

- A może ja ci przeszkadzam? - zapytał na pozór poważnie i robiąc skromną minę, zapiął ostatni guzik koszuli. - Chcesz, żebym jeszcze coś na siebie włożył?

- Nie trzeba - odparła zimno. - Nie pociągasz mnie, a przynajmniej nie tak, jak myślisz.

Rozbiła jajko o brzeg patelni z takim impetem, że połowa, łącznie ze skorupką, wpadła na patelnię, a reszta rozlała się na płycie kuchni. Mruknęła coś mało parlamentarnego i czym prędzej wytarła płytę. Drugie jajko wpadło na patelnię, lecz żółtko się rozlało. Dopiero trzecie rozbiła prawidłowo, więc

odetchnęła zadowolona. Za wcześnie, gdyż biało mocno przywarło do dna. Jej wysiłki zakończyły się tym, że zamiast sadzonego jajka, zrobiła jajecznicę, lecz była już taka zła, że rzuciła ją na mięso i postawiła talerz na stole.

- O, jajecznica! - ucieszył się Cooper.

- Nie bądź złośliwy! - Usiadła naprzeciw niego i wypła łyk kawy. - Nie rozumiem, jak można jeść o takiej nieprzyzwoitej porze.

- Kwestia przyzwyczajenia. - Ostrożnie ukroił kawałek kotleta artystycznie przypalonego na brzegach. - Będzie tak co rano?

- Chyba nie sądziłeś, że błyskawicznie przemienię się w mistrza kucharskiego?

- Pytałem o twoje humory - wyjaśnił, nie patrząc na nią.

- Zawsze o tej porze jesteś zła jak osa?

- Nie wiem, bo pierwszy raz w życiu tak wcześnie się zerwałam.

- Może przyzwyczaisz się i będziesz radośniejsza.

- Nie mam powodu do radości. - Obejrzała bąble na dłoni. - Jestem niewyspana, zziębnięta i boli mnie poparzona ręka. Ty umiesz gotować na takim antyku?

- Będzie ładny dzień - powiedział, aby zmienić temat.

- Skąd wiesz? - Zerknęła na wciąż ciemne okno. - Jest głęboka noc.

- Przestało padać.

Okazało się, że miał rację. Po godzinie w domu nadal panował półmrok, lecz świat za oknami zmienił się nie do poznania. Ponura szarość, która dotąd wszystko spowijała, zniknęła jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki.

Przed dziesiątą Darcy wyszła na werandę. Dom stał na

wzniesieniu, skąd rozciągał się imponujący widok na strumień oraz płaską, kamienistą i jakby wymarłą równinę, dochodzącą do horyzontu. Eukaliptusy nad strumieniem wyglądały jak zielona zapora między wodą a pustynią. Dalej nie było żadnych drzew ani krzewów, nic zielonego, tylko kamienie, które metalicznie połyskiwały w słońcu oraz dalekie pasmo czerwonych wydm. Ich faliste linie stanowiły ostry kontrast z płaską ziemią.

Drzewa wokół domu wyraźnie odcinały się na tle czystego błękitu. Idąc w ich cieniu, Darcy z chrzęstem stąpała po suchych kawałkach kory. Woda w strumieniu nadal płynęła wartko, a wokół potężnych pni tworzyły się wiry.

W powietrzu rozbrzmiewały głosy przeróżnych ptaków. Jedynym dźwiękiem, jaki Darcy rozpoznała, było przeciągłe, zrzędlive krakanie gawronów, które wyglądały nie na miejscu wśród wielobarwnych papug. Nagle stanęła przestraszona, że olbrzymie drzewo przed nią wylatuje w powietrze; to niezliczone białe papugi, zwane korelle małe, poderwały się jakby na dany sygnał i usiadły z powrotem. Chcąc odpędzić intruza, gwałtownie trzepotały skrzydłami. Darcy zatkała uszy, aby nie słyszeć ich przeraźliwego wrzasku.

- Już sobie idę, już idę! - krzyknęła.

Zawróciła i wtedy zobaczyła Bindaburrę w całej okazałości. Długi i niski dom miał szeroką werandę i blaszany dach, połyskujący w oślepiającym słońcu. W głębi było kilka solidnych, kamiennych budynków i olbrzymia drewniana szopa. Wokół wiatraka, którego skrzydła powoli obracały się na wietrze, stały okrągłe zbiorniki na wodę. Wszystko razem sprawiało wrażenie małej, dobrze zagospodarowanej osady.

A zatem tak wyglądało gospodarstwo umiłowane przez wuja i upragnione przez Coopera. Powoli obeszła dom naokoło. Według niej był to zwykły, mocno zaniedbany budynek, który postawiono w nieciekawym otoczeniu. Nie dostrzegła w nim nic szczególnego, więc nie rozumiała, dlaczego dla wuja i Coopera znaczył tak wiele.

Poszła obejrzeć wszystkie zabudowania z bliska i tam natknęła się na Coopera. Z chwilą gdy on się pojawił, cała Bindaburra odeszła na drugi plan. Widziała wyłącznie jego wysoką sylwetkę i nic więcej. Zbliżał się spokojnymi, pewnymi krokami. Spod runda kapelusza widać było podbródek i surowe usta, na których tak nieoczekiwanie pojawiał się intrygujący uśmiech.

- Przeprowadzasz inspekcję swojej własności?

Skinęła głową, z trudem odrywając oczy od jego ust.

- Dopiero dziś mogłam sobie obejrzeć.

- No i jak oceniasz?

- Niezupełnie jest tu tak, jak sobie wyobrażałam - odparła z ociąganiem.

- Może pocieszy cię wiadomość, że ty też niezupełnie spełniasz oczekiwania Bindaburry.

Powiedział to poważnym tonem, ale w oczach miał wesołe iskierki.

- Myślałam, że Bindaburra w ogóle na mnie nie czekała - mruknęła zakłopotana.

- I słusznie. Przetrwiała różne kataklizmy: pożary, susze i powodzie, ale nigdy nie miała do czynienia z kimś podobnym do ciebie.

Pomyślała, że ona z kolei nie miała do czynienia z kimś takim jak on, a głośno powiedziała:

- Na pewno przetrwa i moją obecność, ale nie wiadomo, czy ty przeżyjesz moje gotowanie.
  - Trudniej będzie z twoim wstrętem do wczesnego wstawania. - Obrzucił baczny spojrzeniem jej smukłą sylwetkę i ożywioną twarz. - Teraz jesteś sympatyczniejsza niż o święcie. Powinnaś się postarać i zawsze taka być.
  - Dobrze, jeśli ty też się poprawisz.
  - Ja rano nie jestem zły - pochwalił się.
  - Ale za miły to ty nie jesteś... w ogóle.
  - A co takiego zrobiłem?
  - Nie tyle chodzi o to, co zrobiłeś — odparła, spuszczać wzrok - ile o to, jak mówisz. Nie śmiejesz się ze mnie otwarcie, ale głowę dam, że cały czas kpisz... - Urwała speszona. - Powinniśmy oboje być miłsi. Wiem, że mamy niewiele wspólnego, ale moglibyśmy postarać się zachowywać przyjaźniej.
- Przez chwilę przyglądał się jej zamyślony.
- Hmm, nie jesteś kobietą, z którą mężczyzna pragnie się przyjaźnić, ale zrobię, co mogę.



Odtąd starali się oboje. Przez cztery dni byli uprzedzająco grzeczni i uprzejmi. Wczesnie rano Darcy nie potrafiła wykrzesać z siebie pogody ducha, ale starała się nie odzywać opryskliwie. Zresztą Cooper prędko zorientował się, że przed dziesiątą lepiej w ogóle jej nie zagadywać, jeśli to nie jest absolutnie konieczne.

Powoli sytuacja normowała się. Darcy coraz lepiej gotowała, chociaż nadal przypalała kotlety. Jajka sadzone udawały się codziennie, a kruche ciasteczka były prawie bez zarzutu. Czwartego dnia upiekła placek. Rozpierała ją duma i nie mogła doczekać się powrotu Coopera.

Podjęła się prowadzenia domu z przekory i dlatego, że ujęła się honorem, lecz była przekonana, iż umrze z nudów. Tymczasem okazało się, że ma zbyt dużo zajęć, aby się nudzić. Rano przygotowywała dwa posiłki i sprzątała kuchnię oraz pokoje, w których od lat nikt nie mieszkał. Po południu razem porządkowali papiery wuja; Cooper decydował, które można wyrzucić, a które należy zostawić.

Wieczory były najtrudniejsze. W ciągu dnia, gdy Cooper był poza domem, pracowała spokojnie. Natomiast po jego powrocie jej serce zaczynało trzepotać tak mocno, jakby chciało wyskoczyć z piersi.

Chwilami żałowała, że zaproponowała kontakty na koleżeńskim stopie. Było jej łatwiej, gdy dokuczali sobie, ponieważ wtedy bez trudu pamiętała, że są wrogami. Obecnie, gdy byli razem, gorączkowo szukała tematów do rozmowy. Próbowwała kierować myśli na inne tory, aby zapomnieć o jego oczach, muskularnej piersi i silnych, opalonych dłoniach.

Za każdym razem, gdy nieopatrznie na niego zerknęła, doznawała uczuć, których wolała nie nazywać. Ogarniał ją niepokój i ostre słowa zamierały na ustach.

Cooper był uprzedzająco grzeczny, ale czuła, że z wysiłkiem nad sobą panuje. Wszystko to razem sprawiało, że rosło napięcie między nimi. Celowo omijali się z daleka, co też pogarszało sytuację. Zachowywali się uprzejmie, lecz wcale nie przyjaźnie.

Po opadnięciu wód i powrocie Jima, Gary'ego i Darrena atmosfera trochę się poprawiła. Trzej pomocnicy byli z natury małomówni i nieśmiali, a w obecności Darcy podwójnie skrepowani. Mimo to ich obecność rozładowywała napięcie



podczas posiłków, ale bezpośrednio po kolacji oni szli do siebie. Resztę wieczoru Darcy i Cooper spędzali we dwoje.

W ciągu dnia było ciepło i słonecznie, lecz z nadejściem nocy temperatura raptownie spadała, więc rozpalali ogień w bawialni. Cooper siedział w fotelu przy kominku i czytał fachowe czasopisma. Darcy usiłowała go naśladować, lecz nie potrafiła się skupić. Trzymała książkę na kolanach i spod rzęs, ukradkiem, zerkała na Coopera, a gdy spojrzał w jej stronę, nisko pochylała głowę.

Piątego dnia doszło do spięcia, gdy usunęli z gabinetu resztę dokumentów. Pokój, do którego je przenosili, początkowo wydawał się ogromny, lecz zmalał, gdy wstawili biurko i regały. W związku z tym ciągle się o siebie ocierali, co dla Darcy stało się nie do zniesienia.

Jak to zwykle bywa, kłótnia zaczęła się od drobiazgu. Cooper wkładał coś do dolnej szuflady biurka, gdy Darcy pochylała się, by włożyć plik faktur do środkowej. W tym momencie Cooper wyprostował się, ona zaś odskoczyła, jakby ją ukąsiła osa. Z ręki wypadły jej wszystkie papiery.

- Patrz, co zrobiłaś! - wybuchnął ze złością. - Wczoraj zmarnowałem cały wieczór, żeby poukładać najstarsze faktury według dat! Nie możesz trochę uważać?

Czuła się winna, więc tym ostrzej zareagowała.

- To przez ciebie! - krzyknęła. - Popchnąłeś mnie!

- Popchnąłem? - Wytrzeszczył oczy. - Przecież nawet cię nie dotknąłem.

- Tobie tak się wydaje, a według mnie zachowałeś się jak psychacz!

- Nie przesadzaj! - Kucnął, aby pomóc jej zbierać kartki z podłogi. - Dlaczego od razu dramatyzujesz?

- Wcale nie dramatyzuję!  
- No to robisz melodramat. Nie wypieraj się, bo stale wyolbrzymiasz drobiazgi. Według ciebie nie jest zimno, tylko zaraz Antarktyda, a zwykły deszcz to potop. Wstajesz nie wcześniej, tylko w środku nocy; jeśli się zatniesz w palec, mówisz, że grozi ci dożywotnie kalectwo. Radziłbym ci umiarkowanie, gdybym nie wiedział, że i umiar doprowadzisz do przesady.

Kilkudniowa wymuszona uprzejmość rozwiąła się w mgnieniu oka. Darcy niedbale zgarnęła papiery, nie bacząc, że je gniecie.

- Nie moja wina, że jesteś nudny jak flaki z olejem i nie możesz wytrzymać z kimś, kto jest odrobinę inny.

- Wcale mnie nie dziwi, że według ciebie nudny jest każdy, kto nie kryguje się, jak ty. - Miał zimne oczy i gniewnie zaciskał usta. - Jestem pewien, że twoja pretensjonalność podoba się nieocenionemu Sebastianowi, ale mnie ani trochę nie imponuje.

- Tobie nic nie imponuje.

- Nieprawda. Na przykład ty byś mi zaimponowała, gdybyś umiała zachowywać się, jak należy.

- Nie będziesz mnie pouczał! Ty! - Niebezpiecznie zalśniły jej oczy. - Przypominam ci, bo może zapomniałeś, że połowa Bindaburry należy do mnie i mogę postępować, jak mi się żywnie podoba.

Cooper ugryzł się w język, by nie powiedzieć czegoś złośliwego i podał jej faktury, które niedbałym ruchem rzuciła na inne.

- Jak długo będziesz obstawać przy swoim? - wycodził przez zaciśnięte zęby. - Pasujesz tu jak pięść do nosa i widać,

że nudzisz się jak mops. Nie czujesz, że ty tu wcale nie pasujesz? Jeśli nic ci się nie podoba, czemu tak uparcie tu siedzisz? Dlaczego nie wyjeżdżasz?

- To by ci najbardziej odpowiadało, co? - Ogarnęła ją wściekłość. - Wiem, że zrobisz wszystko, żeby się mnie pozbyć! Jak ta głupia uwierzyłam w gadanie o rozejmie, gdy tobie chodziło tylko o to, żeby zaoszczędzić na kucharce i sprzątacze. Chcesz mnie zmusić do wyjazdu. - Odgarnęła włosy opadające na czoło i spojrzała na niego płonącymi oczami. - Mam po dziurki w nosie wstawania w środku nocy... przepraszam, wcześniej rano... żeby przygotować ci śniadanie. Mam dość zmywania naczyń, szorowania podłóg i obierania warzyw... I te stare papierzyska też mi obrzydły.

- Wzięła garść faktur, rzuciła pod sufit i ruszyła do drzwi.

- Ale jeśli sądzisz, że dlatego wyjadę, to się grubo mylisz. Możesz teraz sam pozbierać te skarby! - krzyknęła na zakończenie. - Żegnam pana!

- Można wiedzieć, dokąd pani się wybiera?

- Na spacer.

- Ale gdzie?

- Po moim majątku. Zresztą tobie nic do tego.

- Będzie mi bardzo do tego, jeśli zabłądzisz.

Odwróciła ku niemu rozognioną twarz.

- Nie zabłądzę, bo wcale nie jestem taka głupia, jak myślisz. To moja ziemia i mogę iść, gdzie chcę.

Trzasnęła drzwiami i zbiegła z werandy. Skierowała się nad strumień, którego duży odcinek poznała podczas codziennych spacerów. Tym razem czuła, że musi iść dalej, aby wyrzucić z siebie całą złość.

Bez namysłu skręciła na prawo i poszła brzegiem leniwie

płynącego strumienia. W spokojnej tafli wody odbijały się wielkie, białe gałęzie eukaliptusów i gęsta mulga. Brzeg był stromy, więc musiała iść ostrożnie, a w dodatku przedzierać się przez gęstwinę zarośli lub omijać gałęzie na ziemi. Po kilku minutach uznała, że jest za dużo przeszkód i posuwa się zbyt wolno, więc skręciła w bok. Dalej od brzegu drzewa rosły rzadziej i mogła iść prędzej.

Nie zwracała uwagi na to, gdzie idzie. W uszach natrętnie dźwięczały słowa Coopera: „Ty tu wcale nie pasujesz”, które tak ją dotknęły, że się rozpląkała. Bolało ją, że jemu nie podoba się ani ona sama, ani jej sposób bycia. Przed dwoma dniami zaczęła rozważać powrót do Londynu, lecz teraz po awanturze zacięła się i postanowiła, że wytrwa przez cały miesiąc.

Nie zauważyła, kiedy zostawiła za sobą drzewa. Dopiero gdy doszła do miejsca, gdzie kończyły się zarośla, stanęła zaskoczona i oprzytomniała. Przed nią rozciągała się falista równina z jednym pagórkiem, który zdawał się niski i stosunkowo blisko. Niewiele myśląc, postanowiła do niego dojść. Nie wyładowała jeszcze całej złości, więc nie chciała wracać do Coopera i słuchać zarzutów, że we wszystkim przesadza.

Aby nie zabłądzić, rozejrzała się w poszukiwaniu znaków szczególnych. Wybrała uschnięte drzewo, którego szerniałe gałęzie tworzyły literę V. Była pewna, że ze szczytu wzgórze będzie dobrze widoczne i pomoże jej wrócić do strumienia.

Okazało się, że wzgórze jest i dalej, i wyższe, niż sądziła, więc zasapała się i spoczęła, ale wysiłek dobrze jej zrobił. Uspokoiła się i jaśniej myślała. Na szczycie usiadła i omiotła spojrzeniem okolicę.

Z jednej strony widniała linia drzew nad strumieniem, z drugiej horyzont. Cała żywota pustynia metalicznie połyskiwała w słońcu. Darcy miała przed oczami krajobraz właściwie bezbarwny, niemal księżycowy; jedynymi kolorami był błękit nieba i czerwony odcień kamieni, jedynym dźwiękiem bzyczenie much. Podciągnęła kolana pod brodę i się zadumała. W głowie kłębiły się pytania: Dlaczego ludzie chcą mieszkać w takiej okolicy? Co ona tu robi? Dlaczego nie przyzna racji Cooperowi i nie wyjedzie?

Myślami przeniosła się do Londynu i zastanowiła nad tym, co tam miała. Mieszkanie razem z koleżanką, nie zawsze udane przyjęcia, rozplotkowane i amoralne środowisko artystów. Z tej perspektywy jej dotychczasowy świat zdawał się nie tylko odległy, ale i nierzeczywisty. Nie potrafiła tam siebie umiejscowić i przestraszyła się, że może wszędzie jest obca.

Najbardziej zaniepokoił ją fakt, że nie mogła sobie wyraźnie przypomnieć Sebastiana. Przez prawie rok szalała z miłości do niego, a teraz był niejasnym wspomnieniem. Aby się skupić, zamknęła oczy, ale miała przed nimi jedynie twarz Coopera. Widziała dokładnie najdrobniejsze szczegóły, a przede wszystkim usta z dziwnym półuśmiechem. Zateęskniła za Cooperem, nie za Sebastianem, i to ją przeraziło.

Wstała i popatrzyła naokoło. Wszędzie, jak okiem sięgnąć, sterczały drzewa z gałęziami w kształcie V. Które miało być znakiem? Które powinno pomóc dojść do strumienia? Ogarnęła ją rozpacz.

Nie chcąc ulec panice, obrała kierunek i ruszyła w drogę powrotną. Monotonia krajobrazu dezorientowała ją, a gdy doszła do pierwszych drzew, każdy kierunek wydał się dobry.

Po namyśle uznała, że strumień powinien znajdować się na wprost. Gdy jednak po kwadransie do niego nie doszła, zwątpiła, czy idzie prawidłowo.

Żałowała, że nie patrzyła na zegarek i nie mierzyła czasu. Nie miała pojęcia, jak daleko odeszła od brzegu i coraz bardziej ją niepokoiło, że niczego nie poznaje. Drzewa zdawały się inne, a cisza złowroga. Nie było słycać nawet much.

Przypomniała sobie, jak zarozumiała twierdziła, że nie zabłądzi. Powoli ogarniała ją panika. Bała się, że będzie krążyła w kółko, zginie i nikt jej nie odnajdzie. Co wtedy powie ojciec, który sprzeciwiał się jej wyjazdowi? Była bliska łez, lecz w porę sobie przypomniała zarzut Coopera o dramatyzowaniu.

Opanowała się, doszła do wniosku, że obrała zły kierunek i zawróciła. Skierowała się bardziej w lewo, ponieważ sądziła, że tam powinien płynąć strumień. Szła już długo, a wody wciąż nie było. Zwątpiła w słuszność decyzji, gdy jej uszu dobiegł plusk. Okazało się, że zaszła dalej, niż sądziła. Koryto strumienia było tu węższe, a na brzegu leżały olbrzymie głazy; jedne czarne, gładkie, inne jaśniejsze i popękane. Między nimi sterczały suche, wybielone przez słońce drzewa, które wyglądały jak ogromne szkielety.

Przebiegł ją zimny dreszcz. Samo miejsce i panująca w nim cisza były niesamowite. Uroczysko! Najchętniej wycofałaby się i poszła okrężną drogą, lecz robiło się późno. Szła prędko, nie patrząc pod nogi i w pewnej chwili stopa wśliznęła się jej między dwa duże kamienie.

Krzyknęła z bólu, ale na szczęście nie skręciła nogi. Kułając, doszła do wody. Gdy minęła ostatni głaz, w oddali zobaczyła znajomy rząd eukaliptusów. Wiedziała, że teraz nie zabłądzi i odetchnęła z ulgą. Niestety, z powodu bolącej

nogi do bramy doszła po zapadnięciu zmierzchu.

Kuśtykając w stronę domu, dostrzegła na werandzie cztery sylwetki; widocznie mężczyźni naradzali się, co robić. Darren ją zauważył i wszyscy się odwrócili. Cooper widocznie coś powiedział, ponieważ tamci odeszli, a on został. Darcy na odległość czuła rozsadzającą go wściekłość. Przy schodach stanęła niepewnie, lecz nic nie powiedział, a gdy ostrożnie wchodziła, bez słowa patrzył na nią zimnymi oczami.

- Gdzie byłaś? - zapytał wreszcie cichym głosem, który zabrzmiał jak świst bicza. - Już mieliśmy iść cię szukać. Nie myślałem, że jesteś aż taka głupia, żeby w ciemności łązić po nieznannej okolicy. Czy przyszło ci do głowy, że będę się denerwować? Że Jim, Gary i Darren będą chcieli pomóc mi cię szukać, chociaż są zmordowani po ciężkiej pracy? I że będą głodni, bo nie raczyłaś przygotować kolacji?

Otworzyła usta, aby powiedzieć coś na swą obronę, lecz nie wydobyła głosu ze ściśniętego gardła. Była blada i starała się powstrzymać łzy napływające do oczu.

Zauważył, że przygryzła wargę. Chciał jeszcze powiedzieć coś, lecz zamiast tego wyciągnął ręce i ją objął. Przytulona do jego piersi, wybuchnęła długo tłumionym płaczem.





## ROZDZIAŁ PIĄTY

Wstydziła się swych łez, lecz coraz mocniej tuliła się do niego, wdzięczna za to, że w jego ramionach czuje się bezpieczna.

- Prze...przepraszam, ba...bardzo prze...praszam - jąkała, szlochając.

- Co się stało?

Głos miał jak zwykle szorstki, lecz brzmiała w nim nuta niepokoju.

- Nic.

- Gdzie byłaś?

- Nie wiem. Szłam bardzo długo, ale byłam taka zła, że nie uważałam, gdzie idę. A potem nie mogłam znaleźć drogi powrotnej. - Wzdrygnęła się na wspomnienie błędzenia. - Myślałam, że wiem, gdzie jest strumień, więc szłam i szłam, ale okazało się, że w złą stronę. Później poszłam w przeciwną... Bałam się, że w ogóle nie wrócę... Wszystko tu jest inne, dziwne. Nie wiedziałam, gdzie jestem i co mam robić. Masz rację, że ja tu nie pasuję.

- Przepraszam cię, byłem dzisiaj w paskudnym humorze.

- Westchnął ciężko. - Chyba wiesz, że połowy tego, co wygaduję, nie mówię na serio.

- Ale to mówiłeś poważnie.

- Niech ci będzie. Jeszcze raz przepraszam. Zdenerwo-



wałem się i wyładowałem na tobie. Chciałem cię zaraz przeprosić, ale zniknęłaś. Odchodziłem od zmysłów ze strachu, że przeze mnie coś złego ci się przytrafi. Powinienem być cię zatrzymać.

- To nie twoja wina. - Przestała płakać, lecz wcale nie miała ochoty się odsunąć. - Jak zwykle przesadnie zareagowałam. Pod tym względem też dobrze mnie podsumowałeś. Do szału doprowadza mnie to, że zawsze masz rację.

Ostatnie zdanie świadczyło, że Darcy wraca do równowagi, więc Cooper uśmiechnął się i cicho zapytał:

- Atmosfera z dnia na dzień robiła się coraz gęstsza, prawda?

- Tak. Lepiej, gdy nie jesteśmy zbyt grzeczni.

Uspokoiła się zupełnie, lecz ze wstydu, że płakała jak dziecko, nie miała odwagi odsunąć się i na niego spojrzeć.

- Ten błąd można od razu naprawić - rzekł żartobliwym tonem. - Umówmy się, że nie będziemy za uprzejmi.

- Świetnie.

Sądziła, że teraz ją odsunie, ale widocznie zapomniał, iż trzyma ją w ramionach. Oparł brodę na jej głowie i gładził ją po plecach gestem, jakim uspokaja się spłoszonego konia. Darcy miała ochotę go objąć i zdała sobie sprawę, że gdyby lekko odchyliła głowę, mogłaby przytulić policzek do jego szyi. Gdyby stanęła na palcach, mogłaby go pocałować.

A potem on...

Zrobiło się prawie zupełnie ciemno. Korelle spały, więc panowała cisza i spokój. Było jej ciepło, dobrze. Czuli jedynie bicie własnego serca i falowanie piersi Coopera. Nagle drgnął. Widocznie uświadomił sobie, że wciąż tuli ją do piersi.

- Uspokoił się?

- Tak.

Delikatnie odsunął ją od siebie. Nie miała odwagi spojrzeć na niego i oboje milczeli zakłopotani.

- No, kto pierwszy powie coś niemiłego? - odezwał się przytłumionym głosem.

- W tej chwili nie mam ochoty - szepnęła.

- To znaczy, że wciąż jesteś nie w sosie.

Pokręciła głową, pociągnęła nosem i wierzchem dłoni otarła resztki łez.

- Czuję się bardzo głupio.

- Chodź do domu, bo pewnie ci zimno. - Zauważył, że utyka. - Skręciłaś nogę?

- Trochę. Gdy szłam między wielkimi głazami, stopa osunęła mi się na śliskim kamieniu i wkleszczyła w szparę.

- Aż stamtąd przyszedłaś ze zwichniętą kostką? - zawołał zdumiony. - Jakim sposobem zaszłaś tak daleko?

- Nie mam pojęcia - przyznała szczerze. - Ale wiem jedno: widziałam tyle Australii, że starczy mi na całe życie.

Weszli do korytarza.

- Nie zwiedziłaś okolicy, jak należy i chyba czas, żebyś zobaczyła, ile piękna tu mamy. Myślę, że przyda ci się urlop od gotowania. Jutro pokażę ci uroki posiadłości, którą odziedziczyłaś. Chcesz?

Po przeżyciach minionego dnia straciła chęć oglądania czegokolwiek, więc zapytała bez entuzjazmu:

- Pójdziemy pieszo?

- Skądże! Na piechotę niewiele byśmy zobaczyli. - W półmroku błysnęły białe zęby. - Zwłaszcza, gdy ktoś ma nadwężoną kostkę. Umiesz jeździć konno?

- Nie. Raz próbowałam i przysięgam sobie, że nigdy więcej.

- Wobec tego pojedziemy samochodem. - Raptem ogarnęły go wątpliwości. - A może wcale nie chcesz? Nie musisz nigdzie jechać.

Pomyślała, że nie ma znaczenia, gdzie jest, ani co robi, byle była razem z nim. Zawstydzona poczerwieniała, ale w ciemnym korytarzu nie było tego widać.

- Chętnie zobaczę okolicę - zapewniła.



Wyjechali wczesnym rankiem, ledwo słońce pokazało się nad horyzontem. Darcy ani trochę nie marudziła; utemperowała ją przygoda z błędzeniem oraz niepokoiła zmiana uczuć w stosunku do Coopera. Nie mogła zapomnieć, jak dobrze i bezpiecznie czuła się w jego ramionach. Łudziła się trochę, że była to reakcja po przeżytych strachu, lecz nic nie wyjaśniało chęci, by go pocałować. Odpędzała marzenia o pocałunkach, a coraz bardziej ich pragnęła.

Miała nadzieję, że w świetle dnia poczuje się inaczej. Nie mogła uwierzyć, że przyjechała zaledwie przed dwoma tygodniami i że w tak krótkim czasie Cooper stał się dla niej najważniejszy. Miała wrażenie, że zna go od zawsze.

Zgodnie z obietnicą pokazał jej część Bindaburry zupełnie inną niż ta, którą wcześniej widziała. Surowe piękno krajobrazu urzekło ją, więc zastanawiała się, czy w towarzystwie Coopera patrzy na wszystko innymi oczami. Jechali wyboistymi drogami, które biegły po pustyni żwirowej. To, co poprzednio wyglądało jak nieciekawe pustkowia, teraz jawiło się jako zapierająca dech panorama. Kopuła nieba była olbrzymia i niewiarygodnie błękitna, a oślepiające słońce

odbijało się w kamieniach. Cooper wskazywał delikatne kwiaty rosnące wśród skał. Zwrócił jej uwagę na łobodę, wyglądającą jak niebieskozielona mgielka i wyjaśnił, że wyrosła po ostatnich deszczach. Wszędzie pasły się wielkie stada krów. Zwalniał, gdy chciał pokazać szczególnie dorodną jałówkę lub cielę. Darcy udawała, że dostrzega zalety zwierzęcia, lecz naprawdę patrzyła tylko na niego.

Lunch zjedli na wydmie. Z daleka wydmy wyglądały jak niskie, przysadziste kopce, a z bliska ich imponująca wysokość zupełnie ją zaskoczyła. Gdy stanęła wśród nich, wznosiły się aż do nieba. U ich podnóża rosły kępy spinifex, żółte złocienie i białe lewkonie.

Podczas wspinaczki Darcy często ześlizgiwała się po piasku, więc poczerwieniała i głośno sapała. Cooper poradził jej, by odetchnęła, a następnie powoli obróciła się dookoła.

- Stąd widać okrągły horyzont - rzekł z dumą. - Widziałś coś podobnego?

- Nie. Jesteś bardzo przywiązany do tej ziemi, prawda?  
- zapytała nieśmiało.

Wyciągnął się na piasku, oparł głowę na ręce i zapatrzył się w daleki horyzont.

- Wychowano mnie na opowieściach o niej i o tym, jak ciężkie było tu życie - zaczął cichym głosem. - Mimo to dziadkowie długo wytrwali. Bindaburra zawsze była dla mojej rodziny magnetycznym miejscem. Jak wiesz, dziadek musiał ją sprzedać. Ojciec dorobił się innego majątku, też dużej, ale to nie to samo. Nie mógł pogodzić się z tym, że ktoś inny ma Bindaburrę, a nie on. Kiedyś twój wuj i mój ojciec przyjaźnili się, ale na długo przed moim urodzeniem o coś pokłócili i nigdy więcej do siebie nie odezwali. Obaj byli

uparci i zawzięci. - Umilkł zamyślony. - Ojciec marzył o tym, żeby chociaż raz zobaczyć przynajmniej dom i strumień, ale duma nie pozwalała mu pogodzić się z twoim wujem i przyjechać.

- A ty? Pragniesz Bindaburry ze względu na ojca czy na siebie?

- Z obu względów. Dawno temu była to jedna z najlepszych posiadłości w Australii. Twój wuj pokochał ją tak samo jak moi przodkowie, ale nie miał pieniędzy, żeby inwestować i ją rozwijać.

Częściowo rozumiała ich, ale sądziła, że sama nie byłaby zdolna tak mocno przywiązać się do ziemi. Mimo to intuicyjnie wyczuła, co to znaczy należeć do niej.

Pogoda była piękna, wiał lekki wiatr, ale w plecy grzało słońce. Ciszę przerywał tylko szum wiatru i sporadyczne, piskliwe nawoływania ptaków. Darcy przesypywała piasek między palcami i ogarnęło ją dziwne uczucie uniesienia, które towarzyszyło jej potem przez całe popołudnie.

Na ogół jechali suchymi drogami, ale od czasu do czasu z pluskiem przejeżdżali przez kałuże, które z daleka wyglądały prawie jak stawy. Wreszcie dotarli do źródła strumienia, który przepływał koło domu. Eukaliptusy, barwne ptaki i tafla spokojnej wody tworzyły widok, jaki zdążyła poznać.

Wysiadła i z lubością się przeciągnęła. Było jej gorąco, a woda wyglądała zachęcająco.

- Czy tu są krokodyle?

- Krokodyle? - powtórzył zdumiony Cooper. - Nie. Cemu pytasz?

- Bo ciągnie mnie do wody.

- Nie radzę wchodzić, jest lodowata.

- Jako Angielka jestem przyzwyczajona do zimnej wody.  
- Mimo to umyj się w tym. - Podał jej czerwone plastikowe wiadro. - Ja zawsze tak robię. Poczekaj, aż rozpalę ogień, a dostaniesz trochę ciepłej wody.

- Wolałabym popływać.

- Jak chcesz. - Patrzył na nią z powątpiewaniem. - Ale jeśli zmienisz zdanie, moja propozycja jest aktualna.

- Nie zmienię - zapewniła buńczucznie. - My, Anglicy, jesteśmy bardzo wytrzymali.

Nie przewidziała kąpieli i nie zabrała kostiumu, zresztą zawsze, jeśli tylko mogła, pływała nago. Tym razem dla przyzwoitości została w bieliźnie i bluzce.

Cooper rozebrał się do pasa, wziął wiadro i przyszedł na brzeg. Darcy nie mogła oderwać oczu od jego szerokiego, opalonego torsu, a on z zachwytem patrzył na jej smukłe nogi.

Udając obojętność, wsunęła pół stopy do wody, która była rzeczywiście lodowata.

- Może jednak zahartowana Angielka się rozmyśli? - spytał Cooper, widząc jej wahanie.

- Za nic. Muszę pamiętać o honorze mojej ojczyzny. Wskoczyła do wody. Było głębiej, niż myślała, a lodowate zimno ścinało krew, więc zabrakło jej tchu i przez kilka sekund bała się, że utonie. Rozpaczliwie rzucała się w wodzie jak ryba na piasku. Nie była w stanie płynąć spokojnie. Cooper stał na brzegu i flegmatycznie oblewał się wodą.

- Jak tam? - zawołał. - Dobrze ci?

- Doskonale! - Nie chciała przyznać, że znowu miał rację. - Odświeżę się.

Prędko skostniała, lecz z uporem godnym lepszej sprawy

plywała tak długo, jak on się mył. Wyszła, dygocząc z zimna i szcękając zębami. Nogi jej się trzęsły, więc z wdzięcznością przyjęła jego pomoc. Zaczął energicznie wycierać ją szorstkim ręcznikiem.

- Poddaję się - rzekł poważnie. - Cofam wszystkie opinie, z których wynikało, że nie jesteś twarda. Myślałem, że uciekniesz po dziesięciu sekundach.

- Zdaje mi się, że pływałam dziesięć godzin - szepnęła sinymi wargami. - Brrr!

Najchętniej przytuliłaby się do niego i ogrzała, lecz nie wypadało. Usiadła na pniu i rozpuściła mokre włosy, a Cooper zajął się przygotowaniem herbaty. Zdjął menażkę z ognia, wsypał trochę herbaty i postawił tuż przy ognisku, aby naciągnęła.

Darcy zdawało się, że po lodowatej kąpieli ma wyostrome zmysły. Z rozkoszą wdychała krystalicznie czyste powietrze, w którym unosił się zapach suchych liści i dymu z ogniska. Ukryte na drzewach korelle kłótliwie skrzeczały, a gawrony ponuro krakały. W strumieniu spokojnie i dostojnie brodził pelikan.

- Ale tu pięknie. Nie zdawałam sobie sprawy, że na świecie są takie urocze miejsca.

- Bliżej domu też tak jest.

Podał jej kubek z gorącą herbatą. Dmuchnęła parę razy, aby się nie oparzyć.

- Jakoś nie zauważyłam. Pewno dlatego, że stale myślałam o tym, co ugotować albo czy nie przypała się mięso zostawione w piekarniku.

Nie przyznała się, że na spacerach, i nie tylko, większość czasu zajmowały jej rozmyślenia o nim.

- Biedactwo! - Usiadł obok, lecz nie za blisko. - W Londynie chyba niewiele uwagi poświęcałaś gotowaniu, co?

- Wcale nie gotowałam.

Lata spędzone w Londynie raptem wydały się jej czymś odległym, jakby należały do cudzego życia, które oglądała na filmie. Zapatrzyła się w wodę. W gładkiej tafli, którą z rzadka mąciła przepływająca ryba, odbijał się czysty błękit nieba.

- Tu chyba jest ci strasznie nudno - rzekł Cooper niepewnym głosem. - Gotowanie i sprzątanie musi być okropnie nużące w porównaniu z rozrywkami w Londynie. Dziwię się, że w te pędy nie wracasz do blasków aktorskiego życia.

- Wciąż pokutuje opinia, że w życiu aktorów są same blaski, bez cieni, a to nieprawda. - Zwiesiła głowę. - Och, występowanie w doskonałej sztuce oczywiście jest cudowne, a samo przebywanie na scenie dostarcza niepowtarzalnych wrażeń. Ale ja całymi dniami siedzę przy telefonie, czekając na oferty, masę czasu zajmują mi próby w teatrze, kiedy indziej godzinami stoję na planie jako statystka w kiczowatym filmie i czekam na swoją kolej. Prawdę powiedziawszy, na ogół jest to strasznie nudny żywot - zakończyła z miną, która świadczyła, że dopiero teraz zdała sobie sprawę z tego, jak żyła.

- Nie do wiary! - Spojrzał na nią szczerze zdumiony. - A ja wyobrażałem sobie, że po każdym przedstawieniu ledwo możesz przedrzeć się przez tłum wielbicieli, czekających na autograf. I że codziennie bawisz się w nocnych lokalach.

- Ja też tak lubię sobie wyobrażać - przyznała się z zawstydzoną miną. - Udaję, że jestem sławną aktorką, ale to



nieprawda. Najlepsza rola, jaką dostałam, była w sztuce, którą zdjęto po dwóch tygodniach. - Wzdrygnęła się na wspomnienie bezlitosnej krytyki. - Zagrałam beznadziejnie.

- Zadziwiasz mnie. - Z napięciem wpatrywał się w jej profil. - Według mnie masz cechy prawdziwej gwiazdy, które powinny wyróżniać cię w tłumie aktorek.

Smutno pokiwała głową.

- Mam talent do tego, żeby udawać aktorkę, ale z granicami jest gorzej. Agent kiedyś mi powiedział, że wszystkie zdolności dramatyczne marnuję poza sceną. Czasem sama się dziwię, że przebrnęłam przez szkołę. Świetnie się tam czułam... Ojciec chciał, żebym skończyła coś praktycznego, choćby kurs dla sekretarek, ale nie powiem, żebym była materiałem na dobrą sekretarkę.

Po ustach Coopera przemknął ledwo dostrzegalny uśmiech.

- Do tej roli chyba trzeba mieć więcej cierpliwości.

- Tak długo molestowałam rodziców, aż dali za wygraną - ciągnęła, jakby nie słyszała jego ironicznej uwagi. - Chciałabym dostać dobrą rolę tylko po to, żeby im udowodnić, że nauka nie poszła na marne, ale jak dotąd nic mi się nie trafiło. Muszę dorabiać jako kelnerka.

- Nie wiedziałem, że angielskie kelnerki stać na podróże do Australii - zauważył kosztownie.

- Zapomniałeś, że ojciec pożyczył mi część pieniędzy? Radził, żebym zobaczyła Bindaburrę, zanim podejmę decyzję, co z nią zrobić. Akurat nie kroila mi się żadna praca, więc kupiłam bilet na samolot i przyleciałam. Jeśli mam być zupełnie szczerą, cieszyłam się, że wyjadę. Po prostu stało się oczywiste nawet dla mnie, że nigdy nie będę wielką gwiazdą

i chciałam mieć czas, żeby zastanowić się nad tym, jak pokierować dalszym losem.

Zachodzące słońce mieniło się złotem i purpurą; w jego blasku biała kora martwych eukaliptusów przybrała odcień różowy. Nisko nad strumieniem leciały dwa pelikany, które chwilami prawie dotykały wody, lecz za każdym razem mocne uderzenie skrzydeł wznosiło je wyżej.

- Ale chyba Sebastian uważa cię za gwiazdę, co?

- Nie, to akurat on jest gwiazdą - odparła z ociąganiem.

- Dopiero wschodzącą, ale jest naprawdę dobrym aktorem. - Zamilkła i przez chwilę rozgarniała stopami liście. - Nie wiem, czemu ci powiedziałam, że mnie jeszcze kocha. Głupio zrobiłam. .. bo... trudno mi przyjąć do wiadomości, że przestał.

Zapadło milczenie. Cooper, patrząc przed siebie niewidzącym wzrokiem, zapytał cicho:

- Jak do tego doszło?

- Jak zwykle. Dostał rolę w serialu i zaczął obracać się w wyższych niż dotąd sferach. Od razu był za pan brat ze znanymi aktorami, więc ja okazałam się za skromna dla niego. - Przełknęła z trudem. - Najbardziej zabolalo mnie to, że, jak większość mężczyzn, nie miał odwagi powiedzieć mi, że mnie zdradził. Dowiedziałam się o tym od znajomej, a gdy przyparłam go do muru, śmiał się i twierdził, że romans z partnerką z serialu należy do roli. Według niego to nie miało żadnego znaczenia, ale dla mnie miało ogromne.

- Czulaś się oszukana i upokorzona?

- Tak. - Pod stopami miała duże koło bez liści. - Sebastian nie cieszy się najlepszą opinią i znajomi ostrzegali mnie przed nim, ale ich nie słuchałam. Wierzyłam, gdy zapewniał, że jestem inna, wyjątkowa, że przy mnie się ustatkuje. Chcia-

łam wszystkim udowodnić, że nie mają racji i potem wstydziałam się przyznać, że to ja nie miałam. - Zamilkła, wspominając przykre chwile. - Tak, dobrze to określiłeś, bo rzeczywiście czułam się oszukana i upokorzona. - Zerknęła na niego z ukosa. - Skąd wiesz, że tak jest?

- Bo to może przytrafić się najlepszemu człowiekowi - odparł z goryczą.

Ścisnęło się jej serce na myśl, że kiedyś pokochał kobietę, która odrzuciła jego miłość i go zdradziła. Może nadal ją kochał? Wpatrzona w płomienie, zapytała:

- Przez nią się nie ożeniłeś?

- Częściowo. I podobnie jak twój wuj uważam, że mi się upiekło.

- Więc już jej nie kochasz?

- Nie. - Czuła, że patrzy na nią. - A ty kochasz Sebastiana? Powoli uniosła głowę i spojrzała mu w oczy.

- Nie. Już nie.

Po zapadnięciu zmierzchu zrobiło się chłodno, więc przysunęła się do ogniska. Miała na sobie oba swetry, które zabrała, lecz ziąb i tak przenikał ją do szpiku kości. Cooper zauważył, że jest jej zimno i przyniósł z samochodu gruby wełniany blezer.

- Proszę. Podejrzywałem, że nie masz nic ciepłego, więc zabrałem specjalnie dla ciebie.

- Dziękuję.

Blezer był długi i nadzwyczaj ciepły. Otuliła się nim z przyjemnością.

- Nie jest to ostatni krzyk mody - dodał Cooper - ale przynajmniej nie zmarzniesz.

- A to najważniejsze.

Nagle ogarnęło ją dziwne onieśmienie. Wyobraziła sobie, jak blezer przylegał do ciała Coopera i poczuła się, jakby on sam ją obejmował.

Wspólnie przygotowali kolację. Darcy była coraz bardziej rozmarzona. Myślała wciąż o tym, że zamiast w blezerze, wolałaby grzać się w ramionach jego właściciela.

Wschód księżycy zachwycił ją. Na tle rumianej, złotej kuli nad horyzontem, odcinała się sylwetka drzewa. Księżyc, malejąc i blednąc, prędko wznosił się coraz wyżej i płynął wśród gwiazd.

Poza kręgiem światła z ogniska było bardzo ciemno. Darcy siedziała na pniu, wdychała zapach dymu, słuchała trzaskających płomieni i obserwowała Coopera, który przykucnął koło ognia, aby zagotować wodę w menażce. Niespodziewanie odwrócił głowę i gdy spojrział na nią, zdała sobie sprawę z tego, że go pokochała.

Nie przypominało to zaślepienia, jakie ogarnęło ją w stosunku do Sebastiana. Tym razem było to poważniejsze i głębsze uczucie, instynktowna pewność, że znalazła drugą połowę siebie.

Nie rozumiała, dlaczego i kiedy się zakochała. Wiedziała tylko jedno: odtąd Cooper będzie stanowił część jej samej. Owej niemal pewności, że są jednością, doznała w chwili gdy pierwszy raz weszła do kuchni i na niego spojrzała.

- Darcy! - Jego głos wyrwał ją z zadumy. - Dlaczego siedzisz cicho jak mysz pod miotłą? O czym myślisz?

O tobie, odparła w duchu. O tym, że się w tobie zakochałam. O tym, żebyś wziął mnie w ramiona. Chcę czuć twoje usta na moich. Chcę, żebyś mnie kochał i obiecał, że nigdy mnie nie opuścisz.

Nie mogła wyznać prawdy, więc zaczęła:

- Ja... tego... Szkoda, że nie ma z nami wuja.

- Rzeczywiście. - Z pasją rzucił polano w ogień. - Na pewno by się cieszył z twojego przyjazdu.

- To niesprawiedliwe, że znałeś go lepiej niż ja - mruk-  
nęła, aby coś powiedzieć.

- Wydaje mi się, że nikt go dobrze nie znał, a ja sam  
poznałem go półtora roku temu. Pamiętaj, że on i mój ojciec  
o coś się pokłócili. Spotkałem twojego wuja dopiero po  
śmierci ojca, gdy zostaliśmy współnikami. Prędko zorientowa-  
łem się, że to bardzo przyzwoity człowiek... - Urwał,  
jakby nad czymś się zastanawiał. - O tobie miał przesadnie  
dobrą opinię.

- No widzisz! Czemu więc sądzisz, że nie chciałby, że-  
bym była właścicielką Bindaburry?

- Niemożliwe. - Gwałtownie wstał. - Przykro mi, ale  
tego na pewno by nie chciał. Ja miałem dostać całość.

Za późno pożałowała, że poruszyła drażliwy temat. Gdyby  
nie rozmyślała o miłości, powiedziałaaby coś innego i nie po-  
psuła nastroju. Zapomniała, że jej osoba zagraża jego przy-  
szłości. Chciał mieć Bindaburrę dla siebie, co mogło nastąpić  
dopiero po jej wyjeździe.

Osaczyły ją nieprzyjemne pytania. Czy powinna zostać,  
gdy wie, że on czeka na jej wyjazd? Ale jak może wyjechać  
ze świadomością, że nigdy więcej nie zobaczy człowieka,  
którego pokochała?

Leżała wpatrzona w bajkowo wygwieżdżone niebo; nigdy  
nie widziała tylu gwiazd. Świeciły tak jasno i było ich tak  
dużo, że niebo zdawało się spowite w biały welon. Droga  
Mleczna przecinała nieboskłon świetlistą wstęgą; była prze-

piękna, lecz daleka i obojętna na smutek w jej sercu. Srebrny księżyc zawędrował daleko i przeglądał się w gładkiej tafli wody.

Cooper leżał po drugiej stronie ogniska. Nie wiedziała, czy śpi, lecz jego spokojny oddech dawał jej poczucie bezpieczeństwa.

Znowu się zamyśliła. Nie rozumiała, dlaczego zakochała się w niedawno poznanym człowieku. Lepiej byłoby, gdyby pokochała kogoś podobnego do Sebastiana, kogoś ze swojego środowiska. Powinien to być człowiek, dla którego nie będzie kłopotliwym intruzem i który zechce się nią zaopiekować. Ktoś, kto ją naprawdę pokocha.

Dostrzegła spadającą gwiazdę, więc prędko zamknęła oczy. Wiedziała, że powinna życzyć sobie, by nie była zakochana w Cooperze, lecz serce mówiło coś innego. Zapragnęła więc, by położył się obok i ją przytulił. Marzyła o miłości pod gwiazdami.

W oddali rozległo się szczekanie dingo. Cooper uniósł się na łokciu i spojrzął na nią ponad gasnącym ogniskiem. Leżała nieruchomo, prosząc go w duchu, by się uśmiechnął, by wyciągnął do niej rękę.

- Nie śpisz? - zapytał cicho. - Wygodnie ci?
- Bardzo.
- Nie zmarzłaś?
- Nie.

Odniosła wrażenie, że waha się, jakby chciał jeszcze coś powiedzieć, lecz rozmyślił się i położył. Była rozczarowana, że nie spełnił jej niemej prośby.

Odwróciła się do niego plecami. Tłumaczyła sobie, że tak jest lepiej, ponieważ nie może zostać w Australii. Wido-

cznie nie wzbudziła w nim żadnych cieplejszych uczuć. Dlatego opanuje się i nic nie powie. Będzie lepiej dla nich obojga, jeżeli przez pozostałe dwa tygodnie będą zachowywać się jak dotychczas. Dzięki temu może wyjedzie z złejszym sercem.

Może potem będzie łatwiej, lecz teraz było trudniej. Skłamała, mówiąc, że czuje się dobrze, ponieważ było jej źle i smutno.



RS



## ROZDZIAŁ SZÓSTY

Po przebudzeniu powtarzała sobie, że miłość nie powinna unieszczęśliwiać, ale poprzednie radosne wrażenie uniesienia zbladło i ustąpiło miejsca przytłaczającemu uczuciu przygnębienia.

W drodze powrotnej oboje byli spięci, lecz żadne ani słowem nie wspomniało o zmianie nastroju. Cooper cierpliwie wyjaśniał, jak zarządza Bindaburą, a Darcy udawała, że ją to interesuje. Pragnęła jednocześnie, by jazda jak najszybciej dobiegła końca i żeby trwała wiecznie.

Wrócili do domu późnym popołudniem. Cooper podjechał tuż pod werandę i wyłączył silnik. Przez kilka sekund siedzieli bez ruchu, a w ich milczeniu wyczuwało się nieprzyjemne napięcie. Nagle odezwali się jednocześnie, więc urwali speszzeni.

- Proszę, ty pierwsza.

Darcy nie pamiętała, co zaczęła mówić. Na pewno chciała powiedzieć, jak ważna była dla niej ta wycieczka, ile jej dała. I zapewnić Coopera, że dzięki niemu zabierze do Anglii piękne wspomnienia bezkresnych przestrzeni, ogromnego, pełnego gwiazd nieba, niezwyklego światła i barw. Była mu wdzięczna za pokazanie niezapomnianych widoków, a przede wszystkim za panoramę z wydm. Zdawała sobie sprawę, że nie on ponosi winę za to, iż obrazy, dźwięki i zapa-



chy z wycieczki zawsze będą jej się kojarzyły ze smutnym faktem, że pokochała człowieka, dla którego ona nic nie znaczy.

- Chciałabym... serdecznie... ci podziękować - zaczęła łamiącym się głosem. - Wycieczka była... bardzo ciekawa.

- Cieszy mnie, że ci się podobała.

- Teraz... pójdę zająć się kolacją - rzuciła z udanym entuzjazmem i wyskoczyła z samochodu.

Podczas kolacji mężczyźni rozmawiali o tym, co zrobiono przez ostatnie dwa dni oraz wspominali trudności z ujeżdżaniem koni. Darcy nie miała w tych sprawach nic do powiedzenia, więc czuła się coraz bardziej obco. Podejrzewała, że Cooper celowo rozmawia z takim ożywieniem, aby dać jej do zrozumienia, że nawet jeśli potrafiła docenić piękno Bindaburry, nigdy nie będzie do niej należała i im prędzej przyjmie to do wiadomości, tym lepiej.

W milczeniu sprzątnęła ze stołu, pozmywała i mruknęła, że jest zmęczona i idzie spać. Mężczyźni obojętnie życzyli jej dobrej nocy i wrócili do przerwanej rozmowy o chorych cielećtach. Cooper nawet na nią nie spojrział.

Miała ochotę trzasnąć drzwiami, lecz się powstrzymała, za to z hukiem zamknęła drzwi do swojej sypialni. Czuła, że za chwilę wybuchnie płaczem, więc aby się opanować, tupnęła nogą i zapowiedziała sobie, że nie uroni ani jednej łzy. Groźnie marszcząc brwi, spojrzała w lustro i pogroziła swemu odbiciu palcem.

Przestała rozumieć, dlaczego wmawiała sobie, że zakochała się w antypatycznym człowieku, dla którego tak niewiele znaczy. Zapewne z jego punktu widzenia spełniała, i to kiepsko, rolę służącej, której nie płacił, więc w ramach re-

kompensaty łaskawie ją zabrał na jednodniową wycieczkę. Była zadowolona, że nie wspomniała nic o miłości, marzeniach i snach. Dzięki temu zaoszczędziła sobie upokorzeń.

Nie była zmęczona, więc perspektywa spędzenia reszty wieczoru w ponurej sypialni wcale nie poprawiła jej humoru. Wyjęła żółtą pidżamę po wuju. Udawała przed sobą, że nosi ją z konieczności, ale naprawdę bardzo ją polubiła. Pidżama była ciepła i miła w dotyku i wcale jej nie przeszkadzało, że musi podwijać rękawy i nogawki. Włożyła ją i mocno zawiązała pasek.

Wykąpała się przed kolacją, więc nie mogła spędzić w łazience połowy zbędnego czasu. Mycie twarzy i zębów trwało zaledwie pięć minut. Nadal nie wiedziała, co zrobić z długim wieczorem, ale na szczęście przypomniała sobie o książkach w bawialni. Przejrzała je podczas odkurzania półek i nie znalazła nic ciekawego, ale lepszy rydz niż nic.

Doszła do połowy korytarza, gdy w drzwiach kuchni ukazał się Cooper. Przystanąła speszona i patrzyła na niego wielkimi oczami w bladej twarzy okolonej ciemnymi lokami. W słabym świetle jedynej żarówki wyglądała jak smukły podłotek.

- Podobno jesteś zmęczona - powiedział z wyrzutem.
- Bo jestem. - Złość minęła bez śladu, a pojawił się dziwny niepokój. - Idę po książkę.
- Masz siły czytać?

Jego cierpki ton sprawił, że do głosu doszła jej wrodzona przekora.

- A mam. Byle książka będzie ciekawsza od słuchania waszego gadania - syknęła. - Dziw, że oderwaliście się od pasjonujących tematów, żeby mi życzyć dobrej nocy.

- O co ci chodzi? - spytał poirytowany. - Musiałem dowiedzieć się, co zaszło podczas mojej nieobecności.

- I potrzeba ci na to tyle czasu? Można by pomyśleć, że nie było cię dwa tygodnie.

- Nawet w ciągu jednego dnia sporo może się zdarzyć - wycedził zimno. - Nie stać mnie na trwonienie czasu, zawsze potem muszę go nadrobić.

- Przykro mi, że nasza wycieczka była dla ciebie stratą czasu.

- Nie wygłupiaj się! - Drgnął mu mięsień na policzku. - Muszę o wszystkim wiedzieć. Gdybyś naprawdę interesowała się Bindaburrrą, też chciałabyś być informowana na bieżąco. Zamiast się obrażać, trzeba było słuchać i się uczyć, ale na to cię nie stać, prawda? Nie możesz siedzieć cicho i słuchać, gdy inni mówią. Chcesz, żeby wszyscy na ciebie patrzyli i podziwiali. Poświęciłem dwa dni na to, żeby pokazać ci Bindaburrrę, ale tobie wciąż mało. Zrobiło się nam głupio, gdy ostentacyjnie wyszłaś, obrażona, że się tobą nie zajmujemy.

- Też wymyśliłeś! Wcale nie chcę, żebyś się mną zajmował.

- Więc czego chcesz? - Podszedł bliżej. - No, czego?

- Od ciebie nic.

Cofnęła się, ale schwycił ją za rękę i pociągnął.

- Doprawdy? - spytał półgłosem, ujmując ją pod brodę.

- Jesteś pewna?

Patrzyła na niego rozszerzonymi oczami. Miała mu za złe, że wystarczy dotyk jego ręki, by czuła się bezradna i bezbronna. Oczywiście mogła odejść. Wprawdzie trzymał ją mocno, ale gdyby naprawdę chciała, mogłaby wyrwać rękę i uciec.

Lekko pogłaskał ją po włosach. Z jego twarzy powoli

ustępował gniew, a pojawił się dość zagadkowy wyraz. Darcy czuła, że serce przestaje jej bić i oddychała z coraz większym trudem.

- Tego też nie chcesz?

Pochylił się i ustami musnął jej ucho. Przebiegł ją dreszcz i ogarnęło podniecenie.

- Nie - szepnęła drżącym głosem.

Objął ją i zaczął całować po twarzy, coraz bliżej ust.

- Nie... -powtórzyła.

- No to nie. - Pieszczotliwie pogładził ją po plecach. - A tak? - mruknął, z ustami przy jej wargach. - Chcesz?

Przestała walczyć z sobą. Spojrzała zalotnie spod rzęs i położyła mu ręce na piersi.

- Może...

- Nie jesteś zbyt pewna - rzekł przekornie uśmiechnięty. Zarzuciła mu ręce na szyję i szepnęła:

- Już jestem.

Pocałunek był długi, namiętny i podniecił ich prawie do granic wytrzymałości.

Wszelkie zastrzeżenia ulotniły się. Liczyło się tylko to, że mogą się całować, obejmować, tulić i pieścić. Darcy poddała się temu z rozkoszą.

Odrywali się od siebie, by złapać oddech i znowu się całowali. Szeptali czule słowa, nieco zakłopotani lawiną uczuć, na które nie byli przygotowani.

Cooper wsunął dłonie pod pidżamę i dotknął jej jedwabistej skóry. Darcy drżała z podniecenia.

Nie zdawali sobie sprawy, jak długo to trwa. Nagle wziął ją za rękę i poprowadził do swego pokoju. Nigdy nie była w jego sypialni, ale teraz patrzyła jedynie na niego i poza

nim nic jej nie interesowało. Ugięły się pod nią kolana, więc oparła się o drzwi, gdy całował ją, pytając chrapliwie:

- Chcesz tego...? Darcy, naprawdę chcesz?

- Tak.

- Jesteś pewna?

Miała zarumienioną twarz, potargane włosy i błyszczące oczy pełne pożądania, którego już nie starała się ukryć.

- Jestem. - Musnęła palcami jego policzek i uśmiechnęła się uwodzicielsko. - Zupełnie, całkowicie, absolutnie pewna.

Na moment zabrakło mu tchu. Pocałował ją jeszcze raz, długo i namiętnie. Potem rozpiął pidżamę i pieszczotliwym gestem musnął jej piersi. Darcy czuła, że zaczyna płonąć z pożądania. Miała wrażenie, że traci przytomność i spada w otchłań pełną wspaniałych doznań. Była bezradna, bez tchu, więc przytuliła się do Coopera, który stanowił jedyną ostoję na świecie. W najśmielszych marzeniach nie podejrzewała, że można przeżywać tak wielkie uczucie.

Rozebrali się w pośpiechu i westchnęli zachwyceni, gdy ich nagie ciała przylgnęły do siebie. Miękkie, słabe ciało kobiety znalazło oparcie w twardym, silnym ciele mężczyzny.

Cooper wziął ją na ręce i zaniósł do łóżka. Pełen podziwu długo wodził wzrokiem i palcami po jej aksamitnej skórze.

- Czy wiesz, od jak dawna tego pragnę? - zapytał przez ściśnięte gardło.

- Nie wiem - odparła ledwo dosłyszalnie.

- Od chwili gdy zobaczyłem cię na drodze, jak skakałaś pod bananową parasolką.

- Nie wierzę. Byłeś wściekły, że cię zatrzymałam.

- Masz rację - przyznał niechętnie. - Więc od wtedy, gdy

weszłaś do kuchni z wyrazem determinacji na twarzy. Jak sądzisz, czemu tak mnie ponosiły nerwy?

- A jak myślisz, dlaczego ja tak marudziłam? - odpowiedziała pytaniem na pytanie.

Pochylił się i przyjrzał się jej z bliska. W oczach miał tyle ciepła i uczucia, że zalała ją fala szczęścia.

- Myślałem, że pragniesz Sebastiana.

- To źle myślałeś. - Przyciągnęła go do piersi. - Pragnę tylko i wyłącznie ciebie.

Nareszcie odważyła się go dotykać. Z lubością przebiegła palcami po plecach, dotykiem poznawała gładką skórę, twardość mięśni. Miał silne, bardzo ładne ciało. Chciała poznać je całe, milimetr po milimetrze. Pragnęła owinać się wokół niego i dać mu tyle rozkoszy, ile tylko to było możliwe.

Obsypał pocałunkami jej włosy, oczy, szyję.

- Kochanie, wczoraj przez całą noc leżałem wpatrzony w gwiazdy i myślałem, że jesteś tak blisko... Marzyłem o tym...

- Ja też.

Całował jej dłonie, każdy palec z osobna, potem całe ręce, ramiona, piersi, brzuch. Darcy bała się, że pożądanie ją spali i nie doczeka najważniejszej chwili.

- Proszę cię - szepnęła.

Uśmiechnął się zadowolony i bez pośpiechu pieścił ją od stóp do czubka głowy. Przeżywała pełnię szczęścia, jakiej nie zaznała nigdy przedtem. Razem wzniesli się na szczyt podniecenia i doznali niewysłowionej rozkoszy.

Długo leżeli, głęboko oddychając, zmęczeni, ale szczęśliwi. Darcy pocałowała Coopera w policzek, przyglądała potargane włosy. Przewrócił się na bok, nie wypuszczając jej z objęć, i jeszcze chwilę wpatrywali się w siebie zachwyceni.

Gdy usnął, przytuliła policzek do jego piersi, wsłuchała się w bicie serca i spokojny oddech. Rytmiczne unoszenie się piersi kołysało ją do snu. Nigdy nie czuła się tak odprężona. Nareszcie miała pewność, że jest całością, że nic jej nie brakuje. Nie myślała ani o przeszłości, ani o przyszłości. W ogóle nie myślała. Wystarczyło, że leży koło ukochanego wsłuchana w rytm jego serca.

Obudziły ją pocałunki i pieszczoty.

- Dzisiaj budzik tak działa - szepnął Cooper. - Dzień dobry.

Przeciągnęła się leniwie jak kotka i mruknęła rozespana:

- Niemożliwe, żeby już była pora wstawać.

- Racja, jeszcze nie. - Odsunął włosy zakrywające jej połowę twarzy. - Ale chciałem się upewnić, że to nie był sen.

- Jeśli nawet, to śniło się nam to samo.

Objęła go i namiętnie pocałowała.

- Nie wiedziałem, że o tej porze potrafisz być taka miła

- zażartował, gdy oderwał się od jej ust. - Chyba to znak, że trochę przyzwyczaiłaś się do tutejszego trybu życia.

- Przedtem nie miałam zaczarowanego budzika.

- Mogę cię budzić codziennie.

Powtórzyli szaleństwa nocy i znowu zapomnieli o całym świecie. Gdy zadzwonił budzik, Cooper niechętnie odsunął się i mimo jej protestów szybko wyskoczył z łóżka.

- Wstawaj, kucharko. - Podniósł z podłogi żółtą pidżamę i rzucił na łóżko. - Ubieraj się!

- Nie możemy zrobić sobie wolnego? - mruknęła, ziewając. - Chciałabym cały dzień spędzić tutaj.

- Gdzie twoje poczucie obowiązku? A fe! - Udając oburzenie, pomógł jej włożyć pidżamę. - Pomyśl o głodnych,

k którzy czekają na śniadanie. Pomyśl o mnie. - Pocałował ją.  
- I o następnej nocy.

Przez cały dzień nie potrafiła myśleć o niczym innym. Zmywała, sprzątała i gotowała ze śpiewem na ustach. Było jej lekko na duszy i nie mogła się doczekać chwili, gdy po kolacji zostaną sami.

Noce były jednym pasmem rozkoszy. W ciągu dnia Darcy przepełniało niewysłowione szczęście i czuła, że naprawdę żyje. Wszystko sprawiało jej przyjemność, nawet zamiatanie podłóg i ścieranie kurzu. Miała wrażenie, że teraz widzi wszystko bardziej ostro, w nowym świetle, jak gdyby ktoś szeroko otworzył okna.

A przecież właściwie nic się nie zmieniło. Wykonywała te same czynności, co przedtem, ale teraz śpiewała przy pracy. Stołownicy cieszyli się, że coraz lepiej gotuje, chociaż zdarzało się jej zatopić w marzeniach i przypalić mięso. Nadal rozkręcała się powoli, lecz nikomu nie zależało, aby szczebiotowała od rana do wieczora. Podczas kolacji zawsze była w doskonałym humorze i z uwagą słuchała rozmów o wykonanych oraz zaplanowanych pracach. Początkowo Darren, Gary i Jim traktowali ją z rezerwą, lecz gdy przekonali się, że naprawdę wszystko ją interesuje, cierpliwie odpowiadali na jej pytania. Stopniowo oswoili się, zniknął dzielący ich dystans i zaczęli traktować ją żartobliwie, jak bracia.

Cooper przez większą część dnia przebywał poza domem. Wieczory spędzali na werandzie, pijąc piwo i obserwując piękne zachody słońca. Darcy siedziała przytulona do niego i bardzo szczęśliwa.

Pewnej niedzieli, gdy dłużej leżeli w łóżku, Cooper nagle powiedział:



- Jutro upływa termin naszego rozejmu.

Uniosła się na łokciu i popatrzyła na niego zaskoczona.

- Już minął miesiąc? Niemożliwe!

- A jednak. - Odsunął delikatnie włosy opadające jej na twarz. - Czas płynie nieubłaganie.

Pomyślała, że nie wyobraża sobie życia bez niego. Nawet trudno jej było uwierzyć, że kiedyś go nie znała.

- Chyba nie zaczniemy kłótni od nowa? - spytała zaniepokojona.

- Jestem pewien, że uda się nam dojść do porozumienia.

- Objął ją mocno, ale posmutniał i dodał: - Oczywiście, jeśli chcesz zostać.

Zajrzała mu w oczy i gorąco pocałowała.

- Bardzo chcę - zapewniła z mocą.

- A ja chcę... wiesz, czego...

Zanim wstali, powiedziała w zadumie:

- O ile dobrze pamiętam, twierdziłeś, że nie wytrzymam nawet miesiąca i prędko będę chciała wracać do Londynu. Podejrzewałam, że tak mi uprzykrzysz pobyt, że naprawdę skorzystam z pierwszej sposobności, żeby wyjechać.

- Zmieniłem taktykę - wyjaśnił z przewrotnym uśmiechem. - Najpierw zrozumiałem, że jesteś uparta jak muł i się nie poddasz, a potem...

- Co potem?

- Okazało się, że wcale nie chcę, żebyś mnie opuściła.

Powtarzała te słowa przez cały dzień. Wprawdzie nie było mowy o małżeństwie, ale obecny stan rzeczy jej odpowiadał. Poznali się zaledwie przed miesiącem, więc nie należało się spieszyć. To prawda, że Cooper nie wyznał miłości otwarcie i wyraźnie, lecz nie było to konieczne. Sebastian mówił za

dużo i nic dobrego z tego nie wyniknęło. Cooper widocznie nie był zwolennikiem słów, ale czynów; każdy jego dotyk, każdy pocałunek najlepiej świadczyły o tym, jak ją kocha.



Kilka dni później akurat kończyli jeść lunch, gdy usłyszeli, że nadjeżdża samochód. Cooper wyszedł, aby zobaczyć, kto przyjechał i wrócił z dwojgiem dorosłych i czwórką dzieci. Najmłodsze miało najwyżej cztery latka.

Ich przyjazd uświadomił jej, że w pobliżu Bindaburry nie ma sąsiadów. Była z natury osobą towarzyską, duszą każdego przyjęcia u znajomych. Tutaj wcale nie odczuwała braku spotkań towarzyskich, ale ucieszyła się na widok gości.

- Państwo Carol i Peter Ridleyowie - przedstawił gości Cooper.

- Serdecznie witam. - Uśmiechnęła się ciepło. - Proszę do stołu, już robię kawę.

- Chwileczkę. - Spojrzał na nią poważnie. - Okazuje się, że państwo od trzech lat spędzają tu wakacje. Twój wuj pozwalał państwu biwakować nad wodą niedaleko stąd.

- Mogę potwierdzić - niespodziewanie rzekł Jim, który odzywał się tylko wtedy, gdy to było absolutnie konieczne. - Pan Meadows bardzo się cieszył, że ma miłych czasowiczów i mówił, że jak na ludzi z miasta, doskonale sobie radzą. Chwalił państwa za to, że nigdy nie zaproszyli ognia i nie zostawiali śmieci.

Pan Ridley miał zakłopotaną minę, jakby pochwała go zawstydziła.

- Mieszkamy w Adelajdzie, ale chcemy, żeby dzieci znały wieś. Pana Meadowsa poznaliśmy przypadkowo, a gdy się zgodaliśmy o wakacjach, zaproponował, żebyśmy przyjechali

do niego. I tak się nam tu spodobało, że nie mamy ochoty jeździć gdzie indziej. Jak zwykle chcieliśmy zapytać go, czy możemy rozbić namiot, a tu taka smutna wiadomość... – Urwał na chwilę. - Nie do wiary, że zmarł. W ubiegłym roku był w doskonałej kondycji. Wspaniały człowiek! To wielka strata.

Pani Ridley zwróciła się do Darcy:

- Pani mąż mówił, że nic nie stoi na przeszkodzie, żebyśmy jak zwykle spędzili tu wakacje.

Darcy uważała, że nie jest to odpowiedni moment, by wyjaśniać obcym ludziom, że nie są małżeństwem.

- Oczywiście, jeśli się zgadzasz... współniczko - dodał Cooper.

- Ależ zgadzam się. Na pewno wuj zrobiłby to samo.

- To bardzo miłe z pani strony, dziękuję - powiedziała pani Ridley. - Mamy wszystko, co trzeba, więc nie sprawimy państwu żadnego kłopotu.

Darcy z prawdziwą przyjemnością rozmawiała z młodą kobietą. Potem zaprowadziła dzieci do kurnika i po drodze obiecała, że dostaną wszystkie jajka, jakie znajdą. Wróciła w wielkiej komitywie z nimi i dzieci wcale nie chciały jechać dalej. Po odjeździe wczasowiczów posmutniała.

- Zrobiłaś furorę i masz nowych wielbicieli - zażartował Cooper. Zostali sami, więc objął ją i pocałował.

Zamyślona położyła mu głowę na ramieniu i westchnęła.

- Wyglądają na szczęśliwą rodzinę.

Próbowała wyobrazić sobie, jak byłoby w Bindaburze z dziećmi. Z ich dziećmi.

Cooper mylnie zrozumiał jej westchnienie.

- Nawet ja z przyjemnością czasem patrzę na nowe

twarze. Wiesz, chwilami zapominam, że musi ci być nudno. My, to co innego, ale ty nie jesteś przyzwyczajona do samotności.

- Mam tyle pracy, że wcale się nie nudzę. I jestem szczęśliwa, bo mam ciebie.

- Ale prawie cały dzień jesteś sama. Potrzebne ci towarzystwo.

- Na razie jedyne, czego naprawdę potrzebuję, to świeży prowiant. Zużyłam prawie wszystkie zapasy i trzeba je uzupełnić. Czy jest tu gdzieś jakiś sklep?

- Koło nas nic nie ma. - Roześmiał się na widok jej miny. - Najbliższy jest w Muroondzie, ale kiepsko zaopatrzone. Jeśli wytrzymasz jeszcze tydzień, polecimy do Adelajdy i tam kupisz wszystko, czego zapagnie.

Perspektywa wyjazdu z nim na cały dzień była kusząca, lecz musiała z niej zrezygnować.

- Oj, niestety, wcześniej będę potrzebowała paru podstawowych rzeczy. Jak długo jedzie się do Muroondy?

- Półtorej godziny. Ale teraz mamy urwanie głowy i...

- Pojadę sama. Płacę za samochód, więc powinnam z niego korzystać.

- Nie popieram tego pomysłu. - Patrzył na nią, jak gdyby nie zamierzał ustąpić. - A jeśli zabłądzisz?

- Wtedy zrobię tak, jak mi radziłeś pierwszego dnia, pamiętasz? Będę siedziała w samochodzie i czekała na pomoc. Jeśli do wieczora nie wrócę, możecie zacząć mnie szukać. Ale chyba nie tak trudno tam dojechać.

- Jesteś pewna, że zapamiętasz drogę?

- Pokażesz mi na mapie i trzy razy przepytasz, dobrze? Zgodził się, ponieważ nie widział innego wyjścia.





## ROZDZIAŁ SIÓDMY

Rano, gdy szykowała się do wyjazdu, powiedział:

- Jednak nie powinienem puszczać cię samej.  
- Przesadzasz. Nauczyłam się trasy na pamięć. I zabieram to. - Wyciągnęła mapę, którą wieczorem dla niej narysował. - Gdzie się podział twój spokój? Założę się, że wrócę wcześniej niż ty. - Była przejęta, jakby wybierała się na wielką ekspedycję, a nie po sól, cukier i mąkę.

Miała jechać do Muroondy prosto, nigdzie nie skręcając. Przed pierwszym skrzyżowaniem stały drogowskazy do dwóch miejscowości: jednej odległej o dwieście, drugiej o czterysta kilometrów. Dopiero teraz w pełni zdała sobie sprawę, że Bindaburra jest bardzo oddalona od innych osad.

Muroondę w zasadzie tworzyła jedna szeroka ulica, zaczynająca się i kończąca na pustkowiu. Darcy jechała powoli i rozglądała się. Minęła pub, za chwilę warsztat samochodowy i wreszcie zauważyła sklep, o który jej chodziło. Był mały i ciemny, typu „mydło i powidło”. Kompoty stały obok przyborów do golema, rodzynki leżały koło mięsa, herbatniki koło kremów. Widokówki sąsiadowały z owocami i warzywami, a w głębi, oparte o lodówkę i zamrażarkę, stały miotły i plastikowe krzesła.

Rozmowny sprzedawca poinformował ją z dumą, że właś-

nie otrzymał świeży towar, więc lepiej nie mogła wybrać się po zakupy. Niezbyt dyskretnie wypytał ją, kim jest i co robi w Bindaburze. Oprócz niej był jeszcze tylko jeden klient: chudy, ale przystojny mężczyzna w eleganckim garniturze. Przysłuchiwał się rozmowie bez zażenowania, po czym podszedł i z czarującym uśmiechem powiedział:

- Pani pozwoli, że się przedstawię: Jed Murray. A więc to pani jest słynną bratanicą pana Billa Meadowsa?

- Tak.

Przystojny nieznajomy miał idealnie wyczyszczone buty, śnieżnobiałą koszulę i czyste paznokcie. Z tego wynikało, że nie pracował fizycznie. Ciekawe, czym się zajmował.

Jed Murray wiedział, jak postępować z kobietami. Nim Darcy się zorientowała, skończyła zakupy i razem wyszli ze sklepu.

- Zapraszam panią do pubu, tu niedaleko.

- Ależ...

Nie pozwolił jej skończyć.

- Piękna bratanica pana Meadowsa zasługuje na serdeczne przyjęcie w Australii. Proszę łaskawie poświęcić mi kilka minut.

Dała się zaprosić przekonana, że Cooper nie miałby zastrzeżeń; rozumiał przecież, że brak jej towarzystwa. Jed Murray zrobił na niej bardzo korzystne wrażenie, był miły, nawet serdeczny. Z jego słów wynikało, że doskonale znał Billa Meadowsa i tym wzbudził jej zaufanie. Niepokoiło ją jedynie uczucie, że już gdzieś go widziała.

- Cooper chce mieć panią tylko dla siebie - powiedział Murray, gdy usiedli przy stoliku. - Dlaczego państwo się ukrywają?

- Ukrywamy? - powtórzyła, lekko się rumieniąc. - Jesteśmy zapracowani.

- On zawsze był zapracowany.

Zabrzmiało to jak krytyka, więc spojrzała zaskoczona. Murray uśmiechał się z lekka szelmowsko, więc pomyślała, że się przesłyszała.

- Łatwo można temu zaradzić - ciągnął spokojnym tonem. - W sobotę wydajemy przyjęcie z okazji urodzin mojej żony. Mieszkamy niedaleko i zapraszamy wszystkich sąsiadów, więc byłaby najlepsza okazja, żeby ich pani przedstawić. Może przyjdzie pani? Oczywiście z Cooperem - dodał po ledwo zauważalnym wahaniu.

- Ale...

Nie wiedziała, dlaczego ma wątpliwości. Uważała, że Murray postąpił ładnie, ponieważ zaprosił obcą osobę, chociaż znajomość z wujem zapewne go do tego nie obligowała. Po krótkim namyśle doszła do wniosku, że Cooper nie powinien mieć zastrzeżeń i przyjęła zaproszenie.

- Dziękuję. Z przyjemnością przyjadę i myślę, że Cooper również.



Cooper natychmiast wyprowadził ją z błędu.

- Co powiedziałaś? - ryknął, gdy usłyszał, czyje zaproszenie przyjęła.

- Że chętnie pojedziemy - powtórzyła, niemile zaskoczona jego reakcją.

- Wcale nie pojedziemy - wycodził przez zaciśnięte zęby..

Zerwał się i oparł o balustradę werandy. Darcy wbiła wzrok w jego plecy.

- Wytlumacz mi, czemu. Mówiłeś, że powinnam spotykać więcej ludzi.

- Ale nie chcę, żebyś kontaktowała się z takimi typkami jak Jed Murray!

- Jest czarujący.

- Oczywiście! - Odwrócił się gwałtownie. — Czarujący jak wszyscy diabli razem wzięci.

- Nie bądź śmieszny.

Zaczynała tracić cierpliwość. W drodze powrotnej myślała głównie o przyjęciu i nabrała ochoty na wyjazd. Byłaby to doskonała okazja, aby pokazać się z Cooperem i... może zostać przedstawiona jako jego narzeczona. Tymczasem on zamierzał popsuć jej przyjemność.

- Mnie się podobał. Był miły, a nawet serdeczny... czego o tobie nie mogę powiedzieć. Może już zapomniałeś, jaki byłeś „miły” podczas pierwszego spotkania? Nie widzę powodu, dla którego nie należało przyjąć zaproszenia.

- Wystarczy, że ja widzę - warknął. - Nie ufam facetowi.

- Jeśli mam zrozumieć, dlaczego mu nie ufasz, musisz mi to wytłumaczyć.

- Nie muszę, bo to nie twoja sprawa - rzekł głucho.

- Ach, tak? Dobrze! - Poderwała się urażona, gdyż zabolalo ją, że i do niej nie ma zaufania. - Nie obchodzi cię, że ucieszyła mnie perspektywa rozrywki. Oczywiście. Uważasz, że powinnam pokornie czekać, aż ty będziesz miał ochotę gdzieś pojechać.

- Skoro tak bardzo ci zależy, żeby się tam pokazać, to jedź sama.

- A żebyś wiedział, że pojedę!

Przez chwilę mierzyli się wzrokiem.



- Nie powinienem się dziwić, że jego sposób bycia ci odpowiada - mruknął z wyrzutem. - Lubisz takie gładkie maniery i pseudo serdeczność, prawda? Założę się, że Sebastian jest podobny.

Jak zwykle utrafił w sedno, lecz nie miała zamiaru przyznać mu racji. Murray istotnie przypominał Sebastiana.

- Gdybym ceniła gładkie maniery, nie byłabym z tobą - syknęła złośliwie. - Nie ma nic zdrożnego w zaproszeniu na urodzinowe przyjęcie żony. I nie widzę powodu, dla którego miałabym przepuścić okazję poznania nowych ludzi tylko dlatego, że ty jesteś głupi i uparty.

Odwróciła się na pięcie i weszła do kuchni, z całej siły trzaskając drzwiami. W oczach miała łzy, a w sercu gorzyc. Zranił ją boleśnie, gdy kategorycznie odmówił wyjaśnienia swej antypatii do Murraya. I rozczarował, ponieważ była przekonana, że są sobie na tyle bliscy, by niczego nie ukrywać.

Kolacja była nieprzyjemna tylko dla niej.. Cooper miał poważny wyraz twarzy, lecz poza tym zdawał się spokojny. Prowadził z Darrenem tak irytująco normalną rozmowę, że Darcy bała się, iż zacznie krzyczeć. Nie pojmowała, jak po przykrej kłótni można omawiać nieistotne tematy. Była zdania, że gdyby był wrażliwy, też by go bolało, że się pokłócili i powinien w czasie kolacji spokojnie wyjaśnić jej swe stanowisko.

Jego obojętność rozjątrzyła ją, a gdy i po kolacji nie chciał podjąć dyskusji, hałaśliwie wyszła i ostentacyjnie wróciła do swej sypialni, w której już od wielu dni nie nocowała.

Po długiej przerwie pokój wyglądał jeszcze bardziej nieprzytulnie niż pierwszego dnia. Skuliła się pod kocem, smutna i zziębnięta. Brakowało jej Coopera, przy którym mogła-

by się ogrzać, lecz duma nie pozwalała iść do niego. Liczyła na to, że on przyjdzie i ją przeprosi. Gdy wyszedł z kuchni, z bijącym sercem nasłuchiwała, czy podejdzie do jej sypialni, czy zapuka. Poszedł prosto do siebie i głośno zamknął drzwi.



Nazajutrz ich nastroje wcale się nie poprawiły. Cooper od razu wdał się w dyskusję z Garym. Darcy nie mogła sobie darować, że przez całą noc nie zmrużyła oka z tęsknoty za człowiekiem, który nie żywił wobec niej cieplejszych uczuć. Wyglądał, jakby spał zdrowym snem, a teraz ignorował ją i pragnął jak najszybciej wyjść.

Uskrzydla ją radość rozwiała się jak dym i wszystko straciło urok. Słońce świeciło blade, powietrze było ciężkie, papugi utraciły żywe kolory. Natomiast krakanie wron dobrze odzwierciedlało jej nastrój.

Poszła nad strumień i długo tam siedziała, pogrążona w czarnych myślach. Wspominała ostatnie dni i zastanawiała się, czy uległa złudzeniu, że Cooper ją kocha. Uderzyło ją, że ani razu nie wyznał miłości otwarcie. Serce ścisnęło się jej boleśnie, gdy pomyślała, że jemu wcale nie chodzi o uczucia. Z rozpaczy przestawała rozumować logicznie. Żałowała, że wybrała się po zakupy i że przyjęła zaproszenie Murraya. Nie chciała jechać na przyjęcie bez Coopera. Nic nie chciała bez niego robić.

Wiedziała, że kłócąc się o drobiazg, postąpili niemądrze. Cooper wcale nie miał obowiązku tłumaczyć jej, dlaczego kogoś nie lubi. Powinno liczyć się tylko ich szczęście. Nie ma sensu czekać, aż on wyzna jej miłość, ponieważ może zrobić to pierwsza. Nie warto unosić się źle pojętym honorem. Wróciła do domu z mocnym postanowieniem, że powie

mu, iż jest najważniejszy i tylko on się liczy, a przyjęcie jest nieważne.

Czekała na niego na werandzie. Wrócił później niż zwykle, gdy słońce schowało się już za horyzontem, a na niebie została tylko purpurowa luna. Przystanął na ostatnim stopniu i przez moment patrzyli na siebie w milczeniu, niepewnie. Darcy zabolalo serce, gdy zobaczyła, jaki jest zmęczony.

Widocznie i On się nie wyspał.

- Dobry wieczór - powiedział chłodno.

- Dobry wieczór. - Ogarnęło ją nagle onieśmienie. - Spóźniłeś się.

- Naprawialiśmy płoty, daleko od domu. Wszyscy się spóźnią, ale kolację chyba dostaną?

Skinęła głową. Uprzejmość była gorsza niż kłótnia. Jak powiedzieć obojętnie grzecznemu człowiekowi, że się go kocha?

- Cooper... - zaczęła niepewnie.

W tym momencie usłyszeli, że ktoś jedzie. Pędzący samochód wjechał na podwórze i z piskiem opon zatrzymał się tuż przed werandą. Wysiadła śmiertelnie blada pani Ridley i troje zapłakanych dzieci. Cooper zbiegł, przeskakując po dwa stopnie, a Darcy zawołała:

- Co się stało?

Objęła kobietę i dzieci. Pani Ridley trzęsła się tak mocno, że nie mogła mówić. Wreszcie wykrztusiła:

- Ben...

- Co mu jest? - Darcy zmartwiała. - Zachorował?

- Nie... zniknął. Proszę, błagam... czy mogą państwo pomóc? Szukaliśmy wszędzie, na próżno. Robi się ciemno, a nasze latarki słabo świecą... Mąż szuka i szuka... Myślą-

łam, że Ben śpi w namiocie... O mój Boże, gdzie jest moje dziecko?

Darcy spojrzała na Coopera, pewna, że doradzi coś mądrego. Położył ręce na ramionach roztrzęsionej kobiety i odwrócił ją ku sobie.

- Niech się pani uspokoi i posłucha. Zaraz zawołam pozostałych mężczyzn i ruszymy na pomoc. Ale musi mi pani dokładnie powiedzieć, dokąd mamy jechać.

Pani Ridley opanowała się i względnie jasno odpowiedziała na pytania.

- Dobrze. Proszę zostać tutaj. Znamy okolicę jak własną kieszeń i na pewno dziecko znajdziemy. Ale to trochę potrwa, więc musi pani uzbroić się w cierpliwość. Darcy, zajmiesz się panią i dziećmi, prawda?

W obliczu nieszczęścia zapomnieli o nieporozumieniu.

- Oczywiście.

Niebawem za bramę wyjechały dwa samochody. Wystraszone i zdezorientowane dzieci kurczowo trzymały się Darcy, która powiedziała zdecydowanym tonem:

- Nie martwcie się, zaraz znajdą waszego braciszka.

W głębi duszy wcale nie była tego pewna. Pamiętała swój niefortunny spacer, gdy zabłądziła w biały dzień i nie umiała znaleźć drogi powrotnej. Ona, osoba dorosła. O ile gorsze musiało być takie przeżycie dla dziecka, nocą blakającego się po nieznaną okolicy.

Wolała nie dzielić się obawami z zapłakaną i zrozpaczoną matką chłopca. Zaprosiła wszystkich do domu. Dzieciom dała ciepłe mleko i ciastka, a pani Ridley gorącą, mocną herbatę. Powoli dowiedziała się, co zaszło.

- Ben spał w namiocie, reszta dzieci bawiła się nad wodą.

Ja cały czas kręciłam się w pobliżu, a mąż poszedł nzbierać suchych gałęzi. Nie mam pojęcia, jak to możliwe, że Ben wyszedł nie zauważony.

Pani Ridley wyciągnęła chusteczkę, by otrzeć łzy.

- Tylko raz na krótko się oddaliłam, bo dzieci wszczęły kłótnię i musiałam rozstrzygnąć, kto ma rację. Trwało to kilka minut, może pięć. I byłam niedaleko namiotu. Zorientowałam się, że dziecka nie ma, gdy zaintrygowana, że tak długo śpi, poszłam je obudzić. Zaczęliśmy szukać, krzyżeć, ale nie znaleźliśmy. Zapadał zmierzch, więc uznaliśmy, że nie znajdziemy Bena bez pomocy. Dlatego ośmieliłam się przyjechać - kończyła relację. - Obiecaliśmy, że nie sprawimy państwu żadnego kłopotu, ale straciliśmy głowę.

- Bardzo słusznie pani postąpiła - zapewniła Darcy.

- Ma pani wspaniałego męża. - Ponownie otarła oczy.

- Mało mówi, ale wiedziałam, że weźmie sprawę w swoje ręce. Emanuje z niego spokój i przy nim zaraz poczułam się bezpieczna. Pani mnie rozumie, prawda?

- Tak. Człowiekowi się zdaje, że gdy on jest w pobliżu, nie zdarzy się nic złego.

- Właśnie to chciałam powiedzieć. Mam nadzieję...

Darcy uznała, że najlepiej skierować myśli zrozpaczonej matki na inne tory i dlatego zleciła jej i dzieciom przygotowanie kanapek, a sama zaparzyła termos kawy. Podejrzewała, że poszukiwania się przeciągną, a wiedziała, że mężczyźni nie zdążyli zjeść kolacji.

Zajęcie wszystkich uspokoiło, a z policzków pani Ridley ustąpiła śmiertelna bladeść. Dzieci, które ochoczo zabrały się do pomagania matce, prędko się znużyły i zaczęły ziewać.

- Przyniosę pościel i niech je pani tutaj położy - zarządziła Darcy. - Pani zajmie się dziećmi, a ja zawiozę kanapki i dowiem się, co z Benem.

Modliła się o to, aby zastać chłopca w ramionach jego ojca, lecz przed namiotem nie było nikogo. Po chwili w ciemności wyłonił się pan Ridley. Miał ściągniętą i poszarżaną twarz. Nie zważając na to, że właściwie się nie znają, podeszła i go objęła. On też objął ją gestem rozpaczony i trzymał w żelaznym uścisku. Powoli, delikatnie wyswobodziła się.

- Wiem, że nic nie jest ważne poza Benem, ale niech pan coś zje - powiedziała, nalewając kawy do kubka. - Proszę.

Cooper, który niebawem nadszedł, ożywił się na widok kanapek i kawy.

- Brawo, tego nam potrzeba - pochwalił. Gwizdnął przeciągle i kolejno zaczęli przychodzić pozostali. Wszyscy ze smutkiem mówili, że nie znaleźli żadnego śladu dziecka.

Jedząc i pijąc, omawiali kierunek dalszych poszukiwań. Darcy nie mogła usiedzieć na miejscu, więc wzięła latarkę i poszła nad wodę. Zdawała sobie sprawę, że przeszukano każdy skrawek ziemi, lecz mimo to czuła, że też musi sprawdzić. Nie wiedziała, jak długo idzie, gdy w słabym świetle latarki zamajaczyły skały.

Wzdrygnęła się i po krzyżu przebiegł ją zimny dreszcz. Pamiętała i głazy, i niesamowitą atmosferę owego miejsca. W nocy jakby czaiło się tam coś groźnego. Przystanęła sparaliżowana strachem. Serce waliło jej jak młotem, a żołądek podchodził do gardła.

Wydawało się nieprawdopodobne, by małe dziecko doszło tak daleko i w zasadzie nie warto było sprawdzać. Rozsądek

nakazywał zawrócić, szukać gdzie indziej. Rozsądek swoje, a intuicja swoje; coś ją ciągnęło do skał.

- Ben!

Miała zamiar krzyknąć, a wydobyła z gardła zaledwie szept, który odbił się od głazów słabiutkim echem. Zmusiła się, by zawołać głośniejsze:

- Ben!

Dygotała nie tyle z zimna, co ze strachu. Latarka wyślizgiwała się jej ze spoconej dłoni, więc często musiała przystawać i wycierać rękę o spodnie. Za wąskim snopem światła ciągnęła się ciemność, napelniająca ją strachem.

Później nie potrafiła sobie przypomnieć, którędy szła między olbrzymimi głazami i co kazało jej poświecić w jedną szczelinę. Zabrakło jej tchu, gdy prawie u swych stóp dostrzegła skulonego śpiącego chłopca.

- Ben? - szepnęła.

Ugięły się pod nią kolana, więc przez moment bała się ruszyć. Usłyszała, że bardzo daleko ktoś ją woła, lecz nie odezwała się, aby nie obudzić dziecka.

Zdjęła sweter, owinęła chłopca i wzięła go na ręce. Był dość ciężki. Posuwała się bardzo wolno, gdyż musiała oświetlać drogę i uważnie patrzeć pod nogi. Zdołała szczęśliwie ominąć wszystkie rozpadliny i poszła brzegiem strumienia. Nie wybrała skrótu, ponieważ bała się zablądzić.

- Darcy!

W głosie wołającego ją Coopera brzmiał coraz większy niepokój, lecz nadal się nie odzywała. Szła coraz wolniej, ale wreszcie zobaczyła migotliwy blask drugiej latarki. Gdy dotarła do kręgu światła, stanęła bez sił i nie mogła postąpić ani kroku dalej.

Cooper rzucił się ku niej.

- Darcy, do licha, gdzie... - Urwał na widok dziecka, które natychmiast wzięło na ręce. - Nie jest...?

- Śpi - odparła załamującym się głosem.

- Nic nie mów, jesteś wyczerpana. Wracamy i dopiero na miejscu wszystko opowiesz.

Była bardzo zmęczona, myślała, że uśnie na stojąco. Pamiętała jednak o obowiązkach pani domu, więc zaraz po przybyciu do domu zajęła się przygotowaniem świeżej herbaty i kanapek oraz ścieleniem łóżek dla niespodziewanych gości.

Gdy wszyscy się rozeszli, chciała sprzątnąć ze stołu, ale Cooper powiedział cicho:

- Dzisiaj już dość zrobiłaś.

Szeroko rozpostarł ramiona, więc przytuliła się i mocno go objęła.

- Jesteś bohaterką - mruknął niewyraźnie, całując ją we włosy. - Ale zabraniam ci tak znikać! Gdy zauważyłem, że cię nie ma... Chyba nigdy w życiu tak się nie bałem.

- Ja też. Nie wiem, dlaczego tam poszłam. To był łut szczęścia, że go znalazłam. Tam jest niesamowicie i tyle szczelin, rozpadlin... Coś mi kazało akurat w tę właśnie zajrzeć.

- Gdyby nie ty, pewno jeszcze byśmy go szukali. - Odsunął się i spojrzał na nią surowo. - Z jednej strony jestem zły, a z drugiej bardzo z ciebie dumny. Pani Ridley wychwalała cię za to, że byłaś spokojna i praktyczna. Chłopcom zaimponowało, że bez nerwów przygotowałaś jedzenie. Zdołałaś ich sympatię i uznanie. To bardzo dużo, jak na kobietę, która nie umie jeździć konno.

- Widocznie przedtem mieli o mnie fatalną opinię.



- Nie, ale zaimponowałaś im zimną krwią. Mnie też. Dopiero teraz zauważyli to, czego przedtem nie dostrzegali, a mianowicie, że jesteś bardzo zaradna w krytycznej chwili.

Poczuła się, jak gdyby wręczono jej dyplom uznania lub order za zasługi.

- Naprawdę tak uważasz?

- Tak. Jesteś zmęczona, prawda? Ja też. Nie wyspałem się...

- Ani ja.

- Awantura była niepotrzebna. Przepraszam, beznadziejnie się zachowałem.

- Nie było o co się kłócić, bo wcale mi nie zależy, żeby jechać na to przyjęcie.

- Porozmawiamy o tym jutro, dobrze? Teraz jesteśmy zbyt zmęczeni.

Z przyjemnością weszła do łóżka i sennym okiem obserwowała Coopera, który bez pośpiechu zdjął ubranie, zgasił światło i się położył. Przysunęła się i oparła głowę na jego piersi. Objął ją, pocałował we włosy i pogładził po plecach. Miał to być gest uspokajający, lecz skutek był odwrotny. Ogarnęło ją miłe podniecenie, więc położyła mu dłoń na brzuchu.

- Myślałem, że śpisz.

Podciągnęła się trochę wyżej i delikatnie pocałowała go w brodę.

- Już się wyspałem.

- Taka byłaś zmęczona...

- Już wypoczęłam. A ty?

- Czuję się rześki jak po całonocnym śnie.

Zaczął ją tak pieścić i całować, że oboje zapomnieli o zmęczeniu.





## ROZDZIAŁ ÓSMY

Benowi nic się nie stało, lecz mimo to państwo Ridleyowie postanowili skrócić pobyt w Bindaburze. Bardzo serdecznie pożegnali Darcy i Coopera.

- Jesteśmy państwu dozgonnie wdzięczni - powiedział pan Ridley, ściskając dłoń Coopera. - Dziękujemy za pomoc.

Pani Ridley miała łzy w oczach, gdy objęła Darcy, a potem Coopera.

- Jak my się państwu odwdzięczymy? Chętnie przysłalibyśmy kwiaty na dowód, jak głęboka jest nasza wdzięczność, ale nie ma jak doręczyć.

Darcy roześmiała się.

- Nawet gdyby ktoś podjął się tu przyjechać, dowiózłby zwiędnięte. - Poważnie dodała: - Ale naprawdę nie ma za co nam dziękować. Cieszymy się, że Ben jest cały i zdrowy.

- Mam nadzieję, że jego przygoda nie zniechęciła państwa do tych stron - dorzucił Cooper.

Darcy mówiła w liczbie mnogiej, on zaś uparcie używał pojedynczej, więc wystraszyła się, że zbyt ostentacyjnie próbuje uchodzić za jego żonę. Ulżyło jej, gdy się pogodzili, lecz może lepiej byłoby nie uprzedzać faktów. Zwątpiła, czy dobrze postępuje. Wprawdzie kochali się równie gorąco jak poprzednio, lecz Cooper ani słowem nie napomknął o mał-

żeństwie. Mogło to oznaczać, że wciąż liczy na to, iż ona wróci do Anglii.

Po odjeździe wczasowiczów uśmiechnął się do niej tak, że wszystkie jej wątpliwości rozwiały się jak dym.

- Ja też chciałbym ofiarować ci coś w podzięce za cudowną noc, ale, jak pani Ridley słusznie zauważyła, trudno tu o bukiet róż.

- Wystarczy mi wieczór bez gotowania - szepnęła, zachwycona wyrazem jego oczu.

- Dobrze. Chcesz spać pod gwiazdami?

- Oczywiście. A możemy wyjechać?

- Tak. Ale musisz mi przysiąc, że nigdzie nie oddalisz się sama.

- Będę trzymać się ciebie kurczowo, jak rzep psiego ogona - zażartowała.

Przed wieczorem dojechali do niewielkiego jeziora, wokół którego gęsto rosły eukaliptusy. Darcy usiadła na kocu i oparła się o gładki pień zwalonego drzewa.

Otoczający ich błogi spokój zakłócały jedynie korelle, hałaśliwie układające się do snu. Powietrze było podbarwione złotawym światłem, w mętnej wodzie odbijało się błękitne niebo, a na tle purpurowego słońca widniały sylwetki drzew.

Darcy, zadowolona i wewnętrznie uspokojona, osłoniła oczy ręką i patrzyła na siedzącą wśród gałęzi parę kakadu różowych. Te dwa ptaki, nie zwracając najmniejszej uwagi na wrzawę korelli, czyściły sobie nawzajem piórka i pocierały się łebkami. Były zajęte wyłącznie sobą.

Chciała pokazać ptaki Cooperowi, więc odwróciła głowę i zauważyła, że patrzy na nią z osobliwym napięciem. Miał

zamiar podać jej herbatę, ale widocznie rozmyślił się i odsta-  
wił kubek na ziemię.

- Darcy... czy... wyjdiesz za mnie? - zapytał lekko  
drżącym głosem.

Zrobiło się cicho, nawet umilkły krzykliwie ptaki. Darcy  
z wrażenia nie mogła wydobyć głosu i bez słowa wpatrywała  
się w jego twarz oświetloną ostatnimi promieniami słońca.

Zastanawiała się, czy się przesłyszała, czy nie...

- Powiedz coś!

- Dlaczego?

- Kocham cię - wyznał, nie spuszczać z niej oczu. - Je-  
steś mi potrzebna. Nie wyobrażam sobie życia bez ciebie.

Zrobiło się jej ciepło wokół serca.

- Nigdy nie mówiłeś, że mnie kochasz.

- Powinnaś była wiedzieć bez mówienia!

- Czasami wydawało mi się, ale nie byłam pewna. Czemu  
kazałeś mi tak długo czekać?

- Bo nie wiedziałem, czy ty mnie kochasz.

Z czarującym uśmiechem powtórzyła jego słowa:

- Powinieneś był wiedzieć bez mówienia.

- Nie byłem pewien.

- Kocham cię.

Przysunął się i wziął jej dłonie w drżące ręce.

- Kochasz mnie? - zapytał, jakby nie wierzył w to, co  
usłyszał.

- Tak.

- Naprawdę?

- Naprawdę.

- Więc wyjdiesz za mnie?

- Tak. Oczywiście, że wyjdę.

Roześmiali się uszczęśliwieni i zaczęli całować się bez opamiętania. Nie posiadali się z radości, że łączy ich odwzajemnione uczucie. Ogarnęło ich miłosne szaleństwo. Światło zachodzącego słońca oblało ich ciała najpierw złotem, a później purpurą. Nie widzieli nic poza sobą i nie czuli nic poza szczęściem i uniesieniem nie do opisania. Darcy łkała, szepcząc imię ukochanego.

Potem ubrali się i usiedli przy ognisku, wpatrzeni w języki ognia. Darcy oparła głowę o pierś Coopera.

- Kiedy się pobierzemy? - spytał półgłosem.

- Niedługo, ale najpierw chciałabym zawiadomić rodziców.

- Będą mieli zastrzeżenia?

- Chyba tylko to, że ciebie nie znają. - Zrobiła komiczną minę. - Powinnam jechać, uspokoić ich i powiedzieć, że nie robię żadnego głupstwa.

- Pojedziemy oboje. Dzięki temu będę mógł osobiście zapewnić twojego ojca, że otoczę cię troskliwą opieką.

- Na pewno będzie rad, że zdejmiesz z niego ciężar i obowiązek. Biedak przez ćwierć wieku martwił się, co ze mnie wyrośnie... Ale, kochanie, czy możesz pozwolić sobie na wyjazd do Anglii?

- Tak, ale dopiero za jakieś trzy, cztery tygodnie.

- Mogę poczekać. - Westchnęła zadowolona. - Oczywiście u twego boku.

- Jesteś pewna? - spytał z niepokojem.

- Że mogę czekać?

- Nie, że chcesz spędzić całe życie na głuchej prowincji. Nie sądziłem, że tak dobrze się zaaklimatyzujesz, ale jesteś tu dopiero niecałe dwa miesiące. Czeka cię życie z dala od rodziny i znajomych, daleko od stołecznych atrakcji. W do-

datku będą takie okresy, gdy wyjadę w teren nawet na tydzień, a ty zostaniesz sama. Boję się, że czasami bardzo dokuczy ci samotność. Szczególnie latem. Bywają dni, a nawet tygodnie, że jest za gorąco, żeby wyjść z domu.

- Próbujesz mnie zniechęcić?

- Skądże! W żadnym wypadku. Ale chciałbym mieć pewność, że przemyślałaś swoją decyzję i zdajesz sobie sprawę, że życie tutaj bywa bardzo ciężkie. Teraz jest idealna pogoda; za dnia ciepło i słonecznie, w nocy chłodno. Jeszcze nie wiesz, jak jest przy pięćdziesięciu stopniach, gdy nie można spać. - Zamilkł, jakby namyślał się, co jeszcze powiedzieć. - Zrobię wszystko, co w mojej mocy, żeby cię uszczęśliwić, ale musisz być przygotowana i na to, że czekają nas ciężkie chwile.

- Tak jest w każdym małżeństwie, prawda?

- Oczywiście. - Poglądził ją po policzku. - Oj, chyba kiepsko tłumaczę, o co mi chodzi.

- Nie, rozumiem, co chcesz powiedzieć. A przynajmniej tak mi się zdaje. Wolisz, żebyśmy poczekali, aż będę miała jaśniejsze pojęcie o tym, co mnie czeka.

- Tak będzie uczciwiej w stosunku do ciebie. Nie chcę przynaglać cię do zrobienia kroku, którego później mogłabyś żałować.

- Wiesz, coś ci powiem. Otóż mój ojciec chyba będzie tobą zachwycony. - Skrzywiła się żałośnie, ale oczy wesoło jej rozbłysły. - Znosi się na to, że zrobisz ze mnie rozsądną istotę. I gospodynię całą gębą. Lepiej uważaj, bo gotowa jestem wyręczyć cię w hodowli bydła.

- Proszę, proszę! - Zaśmiał się rozbawiony. - Masz ochotę i tego się nauczyć?

- Niekoniecznie, ale dla ciebie zrobię wszystko - odparła bez wahania.

- Nie wymagam poświęceń. Hm, wiesz co, myślę, że jednak powinniśmy pojechać na to przyjęcie.

- Nie musimy.

Gdy mogła tulić się do niego, na niczym jej nie zależało.

- Masz rację, że powinnaś poznać tutejszych ludzi. Poza tym chyba czas - dodał jakby po namyśle - żebyśmy spotkał się z Jedem Murrayem... i z jego żoną.

Ogarnęły ją złe przeczucia.

- Jego żoną?

- Tak, z Melanie.

Wymówił imię z taką goryczą, że domyśliła się, za czyją sprawą przestał ufać kobietom.

- Kochałeś ją, prawda? - spytała głucho.

Odsunął się, pozornie, aby dorzucić gałęzi do ognia.

- Mieliśmy się pobrać...

Nie zdołała nic wyczytać z jego nieodgadnionej twarzy.

Ogarnęła ją zazdrość. Wolałaby nie słuchać o kobiecie, którą przed nią kochał, lecz nie pohamowała ciekawości i zapytała:

- Jaka ona jest?

- Bardzo piękna, jej uroda ma w sobie coś niezemskiego.

- Nie odrywał oczu od ognia. - Rodzice wpatrywali się w nią jak w obraz, jakby nie wierzyli, że taka delikatna, eteryczna istota jest ich dzieckiem. Traktowali ją jak królowę, którą należy chronić przed prozą życia codziennego. Była rozpieszczoną jedynaczką, miała wszystko bez kiwnięcia palcem i nigdy nie pracowała. Nawet nie nauczyła się jeździć konno. Tylko czytała książki i marzyła.

Darcy siedziała skulona, patrząc na jego profil.

- Zawsze była inna - podjął po chwili milczenia. - Jako młoda dziewczyna miała w sobie coś tajemniczego, co bardzo intrygowało. - Wykrzywił usta. - Jej powściągliwość podobała mi się, bo wyróżniała ją spośród innych dziewcząt. Za późno zorientowałem się, że była wpatrzona tylko w siebie. Nikt jej nie obchodził.

- Musiała zainteresować się tobą, skoro chciała za ciebie wyjść - zauważyła logicznie.

- Interesowało ją tylko to, co sobą reprezentowałem. Wiesz, po tym, jak dziadek stracił Bindaburrę, ojciec z niczego dorobił się sporego majątku i dobrze nam się powodziło. A jej ojciec tylko dzierżawił niewielkie gospodarstwo. Melanie uznała, że nasze bogactwo będzie dobrym punktem startowym. Za tą spokojną i niewinną twarzą, która mnie intrygowała, kryła się bezwzględna ambicja bez skrupułów. Melanie postanowiła, że będzie „kims” i tylko czekała na stosowną okazję. Przez pewien czas widocznie myślała, że ja mogę dać jej tę szansę, ale potem trafił się lepszy kandydat.

- Jed Murray.

- Tak. Był bardzo gładki i zręczny. Psim swędem zdobył zaproszenie do naszego domu. Akurat wtedy, tuż po zaręczynach, wybrałem się z Melanie do rodziców. - Spojrzał na nią oczami pełnymi bólu. - Odjechała z Jedem i od tej pory jej nie widziałem.

Nie zwiódł jej matowy, pozornie obojętny głos. Wiedziała, że ukochany jest dumnym człowiekiem i że tacy ludzie z trudem znoszą upokorzenie. Czowała, że gorycz i gniew jeszcze się w nim tłą.

- Jak można tak postąpić? Jak ona mogła? Co powiedziała na swoje usprawiedliwienie?



- Coś, co otworzyło mi oczy - odparł z gorzką ironią.  
- Trzeba pamiętać, jaka była. Przez to jej rzekome bujanie w obłokach mocno musiałem się starać, żeby mnie dostrzegła. Chwilami myślałem, że porywam się z motyką na słońce albo chcę oswoić płochliwe, dzikie zwierzę. Nie zauważyłem, że sam wpadam w przemyślnie zastawione sidła. Była taka delikatna i krucha... Nie miałem pojęcia, jaka ona naprawdę jest. Wiadomość, że wychodzi za Jeda była jak objawienie. Powiedziała, że obiecał dać jej wszystko, o czym marzyła. Zawsze chciała mieszkać w mieście i się bawić, a nie siedzieć na zabitej deskami wsi. Marzyła o eleganckich sklepach, strojeniu się, bywaniu w restauracjach, urządzaniu przyjęć. - Pokręcił głową. - Nie domyślałem się, że pod chłodną, opanowaną maską kipi nienawiść do prowincji i mojego stylu życia... To było tak, jakby przepoczwarzyła się na moich oczach. Trafiła się okazja, że mogła zagarnąć więcej i nie zważała, czy przy tym kogoś zrani.

- Bardzo mi przykro. To musiało być straszne przeżycie. Odsunął się od ognia i usiadł z dala od niej.

- To był potworny wstrząs i upokorzenie, ale głównie dlatego, że wyszedłem na głupka. Nie mogłem sobie darować, że byłem taki zaślepiony i nie widziałem jej prawdziwego oblicza. Przechodzą mnie ciarki, ilekroć pomyślę, jaki byłby mój los, gdybym się z nią ożenił.

- Ciekawe, czy wuj też coś podobnego przeżył. Podarł zdjęcie Violet, ale potem je skleił... I zachował jej listy. Może postanowił, że pierwsza miłość będzie ostatnia?

Teraz z kolei ona zapatrzyła się w ogień, ponieważ przełknęła jej przez głowę niemą myśl.

- Czy dlatego zwlekasz z małżeństwem? - spytała

z ociąganiem. - Myślisz, że jestem do niej podobna i też wolę miasto?

W pytaniach brzmiała bolesna rozterka, więc Cooper ujął jej twarz w dłonie i zmusił, by na niego spojrzała.

- Nie jesteś ani trochę do niej podobna - zapewnił ochryplym głosem. - Nic a nic. Ty jesteś ciepła, serdeczna, pełna życia. Prawdziwa. A ona? Nigdy nie wiedziałem, co myśli. Gdy patrzyłem w jej oczy, widziałem pustkę, a w twoich widzę miłość, radość i światło. Ty ujawniasz emocje, a ona je skrywała. W porównaniu z tobą jest skąpa, bo ty szafujesz uczuciami; gdy jesteś zła, twoje oczy ciskają błyskawice, gdy się śmiejesz, robisz to całym sercem, a gdy kochasz... - Dotknął palcem jej ust. - W miłości dajesz całą siebie. Nigdy nie porównuj się z Melanie. Moje uczucie do niej było szczeniackim zadurzeniem, a w stosunku do ciebie jest inne, diametralnie inne. Musisz mi wierzyć na słowo.

- Wierzę.

Pocałowała go, a on objął ją i przytulił do piersi.

- Już pierwszego dnia zdawało mi się, że jesteś tą, na którą czekałem przez całe życie. Nie miało znaczenia, że byłaś absolutnym przeciwieństwem tego, co sobie wymarzyłem jako idealną żonę.

- Teraz rozumiem, dlaczego rozzłościłeś się, gdy powiedziałam ci o spotkaniu z Jedem. Nie ufasz mu, bo zabrał ci Melanie?

- To jeden z powodów. Ale przede wszystkim ogarnęła mnie zazdrość, bo powiedziałaś, że przypadł ci do gustu. Wiem, jak atrakcyjny potrafi być dla kobiet. Jest czarujący, wyszukanie grzeczny, umie się podobać. Bałem się, że przypomni ci życie w Londynie. Życie, o jakim marzyła Melanie.

- Jeśli ona tak lubi miasto, co robi na wsi? - zdziwiła się.  
- Tutaj przyjęcie? Myślałam, że to nie będzie nic wielkiego.  
- Omyliłaś się, moja droga, bo jedno jest pewne: to będzie „coś wielkiego”. - Uśmiechnął się złośliwie. - Chyba dostaniemy mięso z rusztu, ale przygotowane przez dyplomowanych kucharzy i roznoszone przez kelnerki. Melanie chce podejmować gości w wielkim stylu.

- Mieszkają tu na stałe?

- Nie. Mają ogromny dom w Adelajdzie i tam Melanie jest w swoim żywiole. Ale, o ironio, Jeda ciągnie na wieś. Gdy tylko ma okazję, przyjeżdża tu i siada na konia, chociaż ledwo się na nim trzyma. On też nigdy nie skalał się fizyczną pracą, ale udało mu się zbić krocie i kupić majątek na pokaz. Lubi imponować znajomym, których specjalnie w tym celu sprasza. Melanie przyjeżdża wtedy, gdy wydają przyjęcia.

- Z tego widzę, że nie ma po co jechać. Nie zanosi się, żebym mogła spotkać naszych najbliższych sąsiadów.

- Na pewno spotkasz, bo są zapraszani dla lokalnego „kolorytu”. Będzie dobre jedzenie i sporo piwa. Pojedziemy. Pokażę Melanie, że zrobiła mi przysługę, porzucając mnie.

W nocy Darcy długo leżała, rozmyślając o tym, co usłyszała. Bardzo żałowała, że nie wiedziała o Melanie wcześniej. Rozumiałaby, dlaczego Cooper początkowo traktował ją z taką nieufnością. Uświadomiła sobie, że musiała wydawać się podobna do niej, gdy błyskawicznie przyjechała, aby sprawdzić, co otrzymała w spadku. Teraz uważała, że to cud, iż Cooper się w niej zakochał.

Nie posiadała się ze szczęścia. Wiedziała, że jest ekstrawagancka, niepraktyczna i niegospodarna, a jednak ją pokochał. Przewróciła się na bok, aby spojrzeć na jego twarz,

oświetloną blaskiem księżyca. We śnie miał rozluźnione rysy i wyglądał młodziej. Czułym gestem pogłaskała go po włosach. Ukochany. Niedługo - mąż. Była głęboko przekonana, że jej przyszłość jest związana z tym spokojnie śpiącym mężczyzną. Małżeństwo to nie tylko miłość i szczęście, ale wspólne przezwyciężanie trudności. To świadomość, że do końca życia będą razem zasypiać i razem się budzić. Żałowała, że zgodziła się odwlec ślub.

Położyła się na wznak i zapatrzyła w gwiazdy. Poprzednio ich zimny blask zwiększył jej przygnębienie, a teraz zdawały się należeć do niej. Były ciepłe, bliskie, jakby znajome i mrugały, obiecując szczęśliwe życie.



Opadła na krzesło i otarła spoconą czoło.

- Zawsze przy pieczeniu jestem czerwona jak burak i spocona jak mysz. Nie wiem, czy planowałeś dać mi prezent z okazji zaręczyn, ale najlepszy byłby taki drobiazg jak nowy piec.

- Darcy! Zdumiewasz mnie! - Roześmiał się wesoło. - Chyba jesteś tu już za długo. Nie podejrzewałem cię o to, że zażyczysz sobie coś tak prozaicznego. Nie chcesz romantycznego prezentu?

- Chciałabym, ale gdy pomyślę, że czeka mnie sto lat pieczenia mięs i ciast, wolę prozaiczny piec.

- Twoje słowo jest dla mnie rozkazem. - Objął ją. - Kochanie, możesz dostać nawet całą nową kuchnię.

Podskoczyła oburzona i odsunęła się.

- No, proszę, a mnie się oskarża o ekstrawagancję! Czy ty wiesz, ile kosztuje urządzenie kuchni od a do zet?

- Jak sądzisz, dlaczego Melanie chciała za mnie wyjść?

- spytał, mrużąc oko. - Mamy pieniędzy jak lodu i jeśli chcesz, możesz przeprowadzić remont całego domu. Zresztą, co nieco i tak trzeba zrobić.

- Ludzie gotowi pomyśleć, że wychodzę za ciebie dla pieniędzy.

- Kopciuszkule, zapominasz, że jesteś bogata. Przecież połowa Bindaburry należy do ciebie!

- To nie to samo, co żywa gotówka w rękę. Nawet nie wiem, z czego zapłacę za samochód. Zawiadomiłam, że zatrzymam go dłużej, ale jeśli w tych dniach nie oddam, rachunek będzie taki, że się nie pozbieram.

- Nie przejmuj się, odwieziemy go za tydzień. A jeśli koniecznie potrzebujesz pieniędzy, mogę ci dać.

Zawahała się i zmarszczyła czoło.

- Jakoś mi głupio brać, bo nie jesteśmy małżeństwem...

- Więc odkupię twój spadek i będziesz miała spokojne sumienie. I tak w końcu cały majątek będzie nasz.

- A ile ta moja część jest warta?

Gdy jej powiedział, na długo zaniemówiła.

- Niemożliwe! To worek pieniędzy!

- Może jeszcze więcej. Trzeba dokładnie policzyć, ale na pewno coś koło tego.

Darcy nawet się nie śniło, że można mieć tyle pieniędzy. Dotychczas pogodnie pędziła skromne życie i niekiedy musiała korzystać z uprzejmości wyrozumiałego dyrektora banku. Nie spodziewała się, że małżeństwo z Cooperem będzie oznaczało koniec niepewnego bytu. Bindaburra nie kojarzyła się jej z pieniędzmi, lecz skoro była tyle warta, wolała odstąpić ją Cooperowi, niż brać jego pieniądze.

- Dobrze, możesz ją wziąć.

Spojrzał na nią zaskoczony i spytał, cedząc słowa:

- Jesteś pewna? Radzę, przemyśl to, nie decyduj się pochopnie. Nie ma pośpiechu.

- Jestem zdecydowana, bo nie lubię zwlekać w żadnej sprawie. - Wstała, aby sprawdzić, czy ziemniaki są gotowe.

- Sprzedaję i już.

Od tej chwili patrzyła na dom innym okiem, jako pani domu. Rozmyślała o zmianach, jakie wprowadzi, jak przekształci go w dostojną, rodową siedzibę, jaką niegdyś był.

Pełna entuzjazmu najpierw zajęła się bawialnią. Przede wszystkim należało ją pomalować, co mogła zrobić sama. Zaczęła od generalnego sprzątnięcia. Zdjęła ze ścian ponure obrazy, z półek nieciekawe książki, meble przesunęła na środek pokoju.

W jednym kącie, ukryte za olbrzymim fotelem, stało małe biurko, którego dotychczas nie zauważała. Znalazła w nim stare pióra i ołówki, kalendarz sprzed kilku lat, papier listowy oraz koperty. W przegródkach leżały listy. Zapewne to przy tym biurku wuj zasiadał, gdy był zmuszony coś napisać.

Postanowiła zrobić porządek z korespondencją. Przeglądała listy pobieżnie, aby sprawdzić, czy można je wyrzucić, aż jej uwagę przykuł znany papier firmowy. Taki sam jak ten, na którym otrzymała pismo od adwokata, który zawiadomił ją o spadku.

Przebiegła oczami kilka linijek i zmartwiała. Odsunęła wszystko na bok, usiadła wygodniej i powoli przeczytała, co następuje:



*Drogi Billu,*

*Dziękuję Ci za ostatni list. Zmartwiło mnie, że masz zastrzeżenia w stosunku do swego nowego współnika. Z tego, co napisałeś, wnoszę, że na tym etapie nie możesz zrobić właściwie nic, żeby zmienić umowę. Jesteście współnikami od niedawna i być może sprawy przybiorą lepszy obrót. Moje Twój współnik przestanie dążyć do zastraszenia Ciebie i zmuszenia, żebyś mu sprzedał swój udział w Bindaburze. Jeśli nie, proponuję, żebyś przyjechał do Adelajdy. Przedyskutujemy sprawę i ustalimy, jakie masz możliwości wyjścia z impasu.*

*Zasięgasz również mojej rady w sprawie zapisania majątku swej bratanicy. Oczywiście w każdej chwili jestem gotów wprowadzić stosowne zmiany w testamencie. Ale czy jesteś świadom, że Bindaburra może okazać się uciążliwym obowiązkiem dla młodej kobiety bez odpowiedniego doświadczenia? Szczególnie w sytuacji, jaką opisałeś. Uważam, że warto wziąć pod uwagę inne sposoby wyrażenia uczuć, które będą dla obdarowanej mniej kłopotliwe. Wszystko to omówimy podczas Twojej wizyty.*

*Jest mi niezmiernie przykro, że postępowanie współnika kosztuje Cię tyle nerwów i zdrowia, ale liczę na to, że Wasze stosunki jakoś się ułożą bez podawania sprawy do sądu. Jeśli nie, to wiesz, że zawsze możesz na mnie liczyć. Jestem Twoim adwokatem, ale przede wszystkim przyjacielem.*



Nadawcą był ten sam adwokat, który napisał do niej serdeczny list po śmierci wuja. Wyczuwało się w nim prawdziwą życzliwość i troskę o przyjaciela.

Odłożyła list i niewidzącym wzrokiem patrzyła w okno.

Marzenia o szczęściu zniknęły, plany remontu przepadły. Nie wierzyła, by Cooper był zdolny psychicznie znęcać się nad kimkolwiek. Musiało zajść nieporozumienie, jakaś straszliwa pomyłka.

Niestety, przypomniała sobie jego zimny, nieugięty wzrok, gdy mówił, że chce mieć całą Bindaburrę i zrobi wszystko, żeby ją dostać. Na początku przecież usiłował pozbyć się współniczki. Przyznał, że celowo był opryskliwy, ponieważ dążył do tego, by sprzedała swą część i wyjechała.

Tak było, zanim się zakochał... Zwątpiła, czy aby na pewno szczerze ją kocha. Może uznał, że małżeństwo z nią najszybciej doprowadzi go do upragnionego celu.

Ścisnęła skronie, jakby chciała wydusić z głowy dręczące myśli i natrętne obrazy: Cooper podejrzenie się uśmiecha. Wyciąga ręce. Niby obojętnie proponuje kupno połowy Bindaburry. Rzekomo, aby miała własne pieniądze.

- Czy to wszystko podstępny plan? - spytała na głos.  
- Nie! Niemożliwe, żeby tak było.

Robiąc sobie gorzkie wyrzuty, że zwątpiła w ukochanego, ponownie przeczytała list. Jedno nie ulegało wątpliwości: oto mocno starszego pana tak udręczono, że napisał do adwokata i prosił o radę. Wuj nie należał do ludzi, którzy załamują się z byle powodu. Pamiętała go jako twardego, nieugiętego człowieka, a z listu wynikało, że postępowanie współnika wytrąciło go z równowagi. Wyglądało nawet na to, że po prostu się bał.

Przypomniała sobie zdanie, jakim Cooper skwitował śmierć jej wuja: „To był zagadkowy wypadek”. Może nie tylko zagadkowy, ale i wygodny dla niego?

- Przestań! - szepnęła przerażona. - Przestań!



Wsunęła list pod kalendarz i zamknęła biurko. Zaczęła wmawiać sobie, że poniosła ją fanatazja i wyczytała coś, czego nie było. Przecież kochała Coopera i on ją kochał. Niemożliwe, aby był zdolny pastwić się nad starszym człowiekiem. Na pewno zaszło nieporozumienie, które wspólnicy wyjaśnili. Cooper mówił, że byli dobrymi znajomymi.

Powtarzała sobie uparcie, że nic się nie zmieniło, lecz wiedziała, że zmieniło się bardzo dużo.



RS



## ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Wieczorem i rano była tak przygaszona, że Cooper obserwował ją z rosnącym niepokojem i zastanawiał się, czy powinni jechać na przyjęcie.

Darcy nie miała nastroju do zabawy, więc i ochoty na wyjazd. Trudno jej było uwierzyć, że tak niedawno siedzieli szczęśliwi pod gwiaździstym niebem i, przekonani o sile swej miłości, uznali, że mogą spotkać się z Melanie i Jedem. Po przeczytaniu listu od adwokata zabrakło jej owej pewności i to ją najbardziej bolało. Nie przestała kochać Coopera i wszystko, co o nim wiedziała, mówiło, że nie byłby zdolny nikogo traktować źle i że do wuja odnosił się z szacunkiem i serdecznością. Z listu jednak wynikało co innego. Wyobrażała sobie chwilę, gdy biedny, udręczony wuj zasiada przy biurku i pisze do adwokata. Nie mogła zapomnieć, że wtedy myślał o niej. Jak czułby się, gdyby wiedział, że bratanica, której z ufnością powierzył Bindaburrę, beztrąsko planuje oddać ją człowiekowi, który chciał go zastraszyć i wymusić sprzedaż tego, co tak umiłował.

Nie mogła odżałować, że przeczytała list, że w ogóle zaczęła sprzątać bawialnię. Usilnie starała się wmówić sobie, że zaszło nieporozumienie, ale w duszę już wsączył się jad wątpliwości i czuła, że nic nie będzie tak, jak przedtem. Wszystko diametralnie się zmieniło i miejsce pewności zajęło

zwątpienie. Miała wrażenie, że okrutny czarnoksiężnik przemienił krajobraz i zamiast znanych ścieżek, jest niebezpieczny gąszcz, a zamiast twardego gruntu, trzęsawisko.

Była zdezorientowana i rozdzierana przez sprzeczne uczucia. Wieczorem powiedziała, że boli ją głowa i bezsenność przeleżała noc na skraju łóżka. Rano głowa rzeczywiście ją rozboleła, więc nie miała najmniejszej ochoty jechać na przyjęcie. Jednocześnie wołała nie zostawać sama z Cooperem. Bała się, że straci panowanie nad sobą i rzuci mu w twarz najgorsze zarzuty.

- Na pewno chcesz jechać? - spytał, gdy się ubierali.

- Oczywiście - odparła sztucznie ożywionym głosem.

Stała przed lustrem i energicznie szczotkowała włosy, byle się nie odwrócić i na niego nie spojrzeć. - Mam idealny nastrój do zabawy.

- Ciekawe... Od wczoraj podejrzanie umilkłaś. - Obserwował ją z marsem na czole. - Źle się czujesz?

- Nie, znakomicie.

- Wczoraj Jim przywiózł pocztę, w której były i listy do ciebie. Dostałaś niedobre wiadomości od rodziców lub znajomych?

- Ależ skąd.

Zastanawiała się, jak to możliwe, że mimo udreki wygląda normalnie. Tylko w oczach widniała rozpacz, zdradzająca, że serce jej pęka. Aby poprawić sobie humor, włożyła ulubioną czerwoną spódnicę przetykaną złotymi nićmi, kremową bluzkę i haftowaną kamizelkę. W tym stroju wyglądała jak pełna radości życia Cyganka, ale wewnątrz czuła się wypalona.

Ciekawa była, jak Cooper zareagowałby, gdyby powie-

działała mu prawdę. Czy uspokoiłby jej obawy i przekonał, że nie jest podły? Czy zapewniłby, że nigdy nie szantażował żadnego człowieka, szczególnie w podeszłym wieku? Martwiło ją, że wie o nim tylko tyle, ile sam raczył powiedzieć.

Nie miała odwagi zagadnąć go otwarcie, więc głowiła się nad innym sposobem dotarcia do prawdy. Najlepszym rozwiązaniem zdawał się wyjazd do Adelajdy. Oficjalnie, aby oddać samochód, a nieoficjalnie, by porozmawiać z adwokatem i poznać całą prawdę. Miała cichą nadzieję, że adwokat powie, iż się pomyliła, a wtedy Cooper nigdy nie dowie się, o co go posądzała.

Myśl o zrobieniu czegoś konkretnego podniosła ją na duchu. Odwróciła się od lustra, narzuciła na ramiona kolorowy szal i rzekła swobodnie:

- Jestem gotowa, możemy jechać.

Mimo wszystko trudno jej było zachowywać się naturalnie. W drodze do Muroondy patrzyła prosto przed siebie, lecz kątem oka widziała, że Cooper co chwilę na nią zerka. Panoowało przykre milczenie. Kilkakrotnie zaczynała mówić o nim, ale słowa więzły jej w gardle, a Cooper nie podtrzymywał rozmowy.

- Czemu mi nie powiesz, co się stało? - zapytał, gdy kolejny raz umilkła.

- Bo nie ma o czym mówić.

Była zadowolona, że w ciemności nie widać, iż ma oczy pełne łez.

- Niech ci będzie. Ale umówmy się, że gdy znudzi ci się zabawa i zechcesz jechać do domu, dasz mi znak.

- Dobrze.

Chętnie wróciłaby od razu. Najszczęśliwsza zaś byłaby,

gdyby mogła powrócić do dni, gdy nie znała treści listu, gdy kochała Coopera całym sercem i bezgranicznie mu ufała.

Na miejscu okazało się, że prawidłowo przewidział charakter przyjęcia. Zaparkowali pośród kilku przeciętnych i wielu eleganckich samochodów. Nieopodal stało kilkanaście samolotów. Darcy nigdy czegoś podobnego nie widziała.

W dużym namiocie zebrali się goście - rozgadani mieszczanie i milkliwi farmerzy, którzy obserwowali się nieufnym wzrokiem. Między bufetami z potrawami kręcili się kucharze w pasiastych fartuchach, a między gośćmi uwijały się zrzęczne kelnerki.

Murray powitał Darcy z czarującym uśmiechem, który nieomal mówił, że jest jedyną osobą, na którą gospodarz naprawdę czekał. Teraz, gdy wiedziała, że zabrał Cooperowi narzeczoną, dostrzegła w jego twarzy wyrachowanie. Przemknęła jej niemiła myśl, że skoro nie wierzy w to, co Cooper mówił o wuju, może nie powinna ufać jego opinii o rywalu.

Murray nie wyciągnął ręki do Coopera i twarz mu stężała.

- O, dobry wieczór. Ciebie się nie spodziewałem.

- Podobno mnie też zaprosiłeś - zimno wycedził Cooper.

Antypatię obu mężczyzn było widać jak na dłoni. Wyglądali, jakby szykowali się do walki.

- Oczywiście. - Jed rozciągnął usta w wymuszonym uśmiechu. - Sądzę, że znasz co najmniej połowę obecnych. I na pewno chcesz zamienić kilka słów z Melanie, bo dawno się nie widzieliście.

Cooper udał, że nie dostrzega ironii i rzekł obojętnie:

- Chyba jest wiele osób, które chcą z nią rozmawiać.

- Tak, ale dla ciebie na pewno znajdzie czas. Przecież byliście kiedyś związani, prawda?

W powietrzu zawisła groźba czegoś nieprzyjemnego. Darcy żałowała, że przyjechali. Milczenie w domu byłoby łatwiejsze do zniesienia niż pogarda na twarzy Murraya. Nie pojmowała, jak mogła uważać go za czarującego człowieka.

- Nie wysilaj się na aluzje - rzekł Cooper lodowatym tonem. - Darcy wie, co mnie łączyło z twoją żoną.

Jed, na którego twarzy malowało się osłupienie, zapytał:

- Mam rozumieć, że twoja obecność oznacza, że jesteś gotów puścić przeszłość w niepamięć?

- Nic podobnego. Darcy chciała poznać nowych ludzi, a ja nie chciałem, żeby po ciemku jechała sama.

- Skoro tak, to musi przede wszystkim poznać Melanie. Jestem przekonany, że panie łączy dużo wspólnego - wycedził Jed jadowitym tonem i zawołał: - Kochanie!

Skinął na żonę. Darcy odwróciła się i zobaczyła nadchodzącą piękną kobietę. Miała ogromne zielone oczy i jasne włosy koloru pszenicy. Patrząc na tę anielską twarz, Darcy poczuła skurcz serca. Łatwo było zrozumieć, dlaczego Cooper się w niej zakochał. Była drobna, delikatna i wytworna, prawie nierzeczywista. Trudno było wyobrazić ją sobie przy obieraniu ziemniaków lub zmywaniu naczyń. Nawet nie szła zwyczajnie, lecz jakby płynęła.

Darcy zerknęła na ukochanego. Miał twarz bez wyrazu, oczy zimne i obojętne. Wokół nich zapanowała jakaś próżnia, przytłaczająca cisza pośród gwaru rozmów.

Przerwała ją Melanie, mówiąc dziwnie schrypniętym głosem:

- O, kogo widzę? Dobry wieczór, Cooper.

- Dobry wieczór.

- Pozwól, kochanie, to pani Darcy Meadows - pospiesz-

nie rzekł jej mąż. - Mówiłem ci, że spotkaliśmy się w sklepie. Pamiętasz?

Objął Darcy w talii, lecz gdy zobaczył minę Coopera, opuścił rękę i sztucznie się roześmiał. Melanie również dostrzegła wyraz oczu Coopera i po jej twarzy przemknął cień.

- Pamiętam - rzekła chłodno. - Byłeś panią oczarowany. Cooper zacisnął pięści, a Darcy czym prędzej powiedziała:

- Wszystkiego najlepszego z okazji urodzin.

Melanie spojrzała na nią, jakby dopiero teraz ją zauważyła. Darcy była szczupła, lecz przy wiotkiej pani domu czuła się wielka i gruba, w dodatku niestosownie ubrana.

- Dziękuję. Miło mi, że pani przyjechała. - Melanie rzuciła Cooperowi osobliwe spojrzenie spod długich rzęs. - Bardzo mi miło,

Darcy wcale nie podobało się owo spojrzenie. Było chłodne, wyrachowane, jak gdyby Melanie zastanawiała się, czy potrafi znowu rozbudzić w Cooperze miłość.

- Myślałam, że będziemy pod gołym niebem i dlatego zabrałam szal - rzekła Darcy. - Ale chyba będzie mi za gorąco. Gdzie mogłabym go zostawić?

Sądziła, że gospodarze zrozumieją aluzję, lecz nie знаła Melanie, która powiedziała:

- Zaprowadzę panią. - Widząc, że Cooper zamierza iść z nimi, dodała: - Ty zostajesz. Pani sama trafi z powrotem.

Darcy nie miała wyboru i musiała iść. Minęły idealnie przystrzyżony trawnik i weszły do domu, wyglądającego jak przeniesiona na prowincję kopia miejskiej rezydencji.

- Piękny dom - uprzejmie powiedziała Darcy.

W głębi duszy uważała, że jest okropny. Może w mieście

wyglądałby dobrze, lecz na wsi sprawiał raczej groteskowe wrażenie.

- Różni się od tego w Bindaburze, prawda?'- spytała Melanie.

Dom Billa Meadowsa był zaniedbany, ale miał swoisty urok. I przede wszystkim pasował do otoczenia, podczas gdy dom Murrayów raził.

- Diametralnie - przyznała Darcy zgodnie z prawdą i zapytała pozornie obojętnym tonem: - Dobrze zna pani Bindaburę?

Piękna kobieta zaśmiała się niewesoło, co mogło oznaczać, że nie jest zadowolona z życia.

- Jak według pani poznałam Coopera?

- Mówił, że państwo dorastali w tych samych stronach.

- A tak. Mój ojciec był współnikiem pani wuja w Bindaburze.

- Pani ojciec? - Darcy aż przystanęła. - Naprawdę?

- Owszem. - Melanie wysoko uniosła brwi. - Dziwne, że Cooper o tym pani nie powiedział.

Darcy tak się ucieszyła ową wiadomością, że miała ochotę podskoczyć z radości. Pomyślała, że może ojciec Melanie był tym współnikiem, któremu wuj nie ufał. Lecz skoro tak sprawy się miały, skąd wziął się trzeci, czyli Cooper? I dlaczego nic o tym nie wspomniał?

- Tak - mruknęła. - Bardzo dziwne.

- Czy już się oświadczył? - zapytała Melanie bezceremonialnie.

Darcy spojrzała na nią wyniośle.

- Słucham?

- Och, niech się pani nie martwi, na pewno to zrobi.



- Nie rozumiem, o czym pani mówi. - Skrzywiła się zdegustowana. - I skąd ta pewność?

- Z doświadczenia. - Melanie zmrużyła oczy. - Proszę nie zapominać, że znam go dłużej niż pani. Nawet miałam za niego wyjść... Mówił pani?

- Tak. Wiem, że pani rzuciła go, bo wołała swego obecnego męża - odparła Darcy bez zająknięcia.

- A więc taką wersję pani podał? - Uśmiechnęła się z politowaniem. - Podejrzewam, że on nie jest z panią stuprocentowo szczerzy. To on zerwał zaręczyny, nie ja. A wie pani, czemu? Bo dowiedział się, że mój ojciec sprzedał swój udział w Bindaburze. Cooper zawsze pragnął tylko jednego: Bindaburry... Już nie mogłam o niej słuchać. Gdy się zaręczyliśmy, byłam młodziutka i szalenie naiwna. Naprawdę byłam przekonana, że on mnie kocha! - Pokręciła głową, jak gdyby i teraz się sobie dziwiła. - Prędko zorientowałam się, że zależy mu jedynie na posiadaniu tamtego majątku. Był nawet gotów mnie poślubić, byle dopiąć swego. Myślał, że ojciec da mi w prezencie ślubnym swój udział, więc gdy dowiedział się, że odsprzedał go Jedowi, zerwał zaręczyny!

Darcy robiło się niedobrze.

- A pani z tego skorzystała i natychmiast wyszła za rywala?

Melanie udała, że nie zauważyła sarkazmu.

- Byłam bardzo młoda. Przyznaję, że wyszłam za Jeda jakby rykoszetem, ale ani przez moment tego nie żałowałam, bo mam bardzo dobrego męża. Ale chyba do końca nie wyleczyłam się z uczuć do Coopera. Jest wyjątkowym mężczyzną, potrafi być czarujący i niebezpiecznie atrakcyjny...

O tym zapewne już się pani przekonała.

Przed oczami Darcy przesunęły się obrazy: Cooper wraca

z pracy; patrzy na nią ciepło, czasem z rozbawieniem; rozbiera się, kładzie obok i bierze ją w ramiona...

- Uważam, że... jest... bardzo miły.

- Supergość. - W ustach anielsko pięknej kobiety gwarowy zwrot zabrzmiał jak zgrzyt. - Na pewno skakał z radości, gdy usłyszał, że pan Meadows zapisał wszystko pannie. I to ładnej. Założę się, że gotów jest poślubić panią, byle dostać Bindaburrę. Ja na pani miejscu przed ślubem spisała-bym z nim umowę. W przeciwnym razie może tak uprzykrzyć pani życie, że w końcu odda mu pani swoją połowę, byle mieć święty spokój.

Z trudem panując nad sobą, Darcy zapytała:

- Na jakiej podstawie sądzi pani, że małżeństwo z nim w ogóle wchodzi w grę?

- Przede mną nic się nie ukryje. - Melanie spojrzała na nią z wyższością. - Przecież widać gołym okiem, że pani jest w nim zakochana. Mówię wyłącznie z życzliwości, to wszystko. Nie chciałabym, żeby pani cierpiała tak, jak ja. Przepraszam, muszę wracać.

Wiadomo, że niektórzy ludzie wtrącanie się w cudze sprawy nazywają dawaniem dobrych rad z życzliwości. Darcy podejrzewała, że Melanie pragnie skłócić ją z Cooperem, lecz nie rozumiała, po co. Do reszty straciła humor i z posępną miną patrzyła na odchodzącą. Nie podobała się jej ani Melanie Murray, ani to, co mówiła. Nie ufała jej, a jednak zastanawiała się, czyja wersja zerwania jest bliższa prawdy. Gdyby nie ten nieszczęsny list, bezwarunkowo wierzyłaby Cooperowi. Czuli się zdezorientowana, rozgoryczona i przytłoczona podejrzeniem, że Cooper po prostu wykorzystuje ją, by osiągnąć to, czego pragnie.

Kolejny raz doszła do wniosku, że źle zrobiła, przyjeżdżając do Australii. Powinna była słuchać matki, która twierdziła, że od kłopotów człowiek nigdy i nigdzie nie ucieknie. Należało Siedzieć w Londynie. Tylko nieliczni, którym nie wiedzie się w pracy lub w miłości, mogą uciec. Większość musi borykać się z losem na miejscu.

Raptem zapragnęła znaleźć się w domu rodzinnym, wśród ludzi, których rozumiała. Serce jej się ścisnęło na myśl, że musi porzucić Coopera, lecz nie mogła z nim żyć, gnębiona strasznymi podejrzeniami. Postanowiła, że wieczorem opowie mu jakąś wymyśloną historyjkę, aby uzasadnić powrót do Londynu. Miała samochód, więc mogła wyjechać od razu. Nie wiedziała, jak przeżyje kolejny kryzys. Będzie zmuszona udawać przed sobą, że to, co czuła w stosunku do Coopera, było podobne do uczucia dla Sebastiana.

Z namiotu dobiegła muzyka, a Darcy popatrzyła na niebo usiane gwiazdami. Przypomniała sobie inny wieczór, gdy nie było orkiestry, kelnerek i tłumu hałaśliwych gości, lecz jedynie szum strumienia, płonące ognisko... i Cooper.

Skuliła się w sobie i z trudem powstrzymała łzy cisnące się do oczu. Śmiech gości jakby jej urągał. Nie miała ochoty się bawić, lecz wiedziała, że musi iść do namiotu i udawać, że jest w wyśmienitym nastroju. Była aktorką, więc nikt, kto ją widział rozbawioną, roztańczoną i ożywioną, nie podejrzewał, że w jej piersi krwawi obolałe serce.



Do końca życia uważała, że to był jej najlepszy występ. Nigdy nie rozmawiała tak dowcipnie i błyskotliwie. Ostentacyjnie Ignęła do gości z miasta i flirtowała bez skrępowania. Chodziło jej o to, by Cooper widział, że doskonale się

bawi, lecz on zdawał się nie zwracać na nią uwagi. Widziała go stale w otoczeniu kobiet, które na pewno były zachwycone emanującą z niego siłą i powagą. Było wielu przystojnych, atrakcyjnych mężczyzn. Cooper zdecydowanie wyróżniał się wśród nich, lecz nie wzrostem czy strojem. Raczej spokojnym i pełnym godności sposobem bycia. Z uwagą słuchał innych i poważnie odpowiadał na pytania.

Akurat grano ogniste tango, gdy do Coopera podeszła Melanie. Partner zamaszycie okręcił Darcy, więc na moment musiała oderwać oczy od tamtych dwojga. Gdy znowu na nich spojrzała, Cooper miał ten sam wyraz twarzy co zwykle i coś mówił. Wyglądał spokojnie, lecz Melanie cofnęła się, jak gdyby ją uderzył.

Darcy wiele dałaby za to, aby dowiedzieć się, co ich naprawdę łączyło. Miała ochotę od razu rozmówić się z Cooperem, lecz przeszedł do grupy mężczyzn i wcale nie patrzył w jej stronę. Jego obojętność wzmocniła jej postanowienie, że nazajutrz wyjedzie. Widocznie rzeczywiście poza Bindaburrą wszystko było mu obojętne.

Po pewnym czasie podszedł i podał jej szal, mówiąc:

- Czas wracać.
- Och, a ja tak świetnie się bawię - skłamała.
- Możliwe, ale jedziemy.

Wziął ją za rękę i mimo protestów otaczających ją mężczyzn, wyprowadził z namiotu. Sztucznie podtrzymywany nastrój rozbawienia opadł niby maska i Darcy wsiadła do samochodu nieszczęśliwa. Długo panowało przykre milczenie, a gdy zjechali z głównej drogi, Cooper zahamował z piśkiem opon.

- Dlaczego stanąłeś? - spytała zdenerwowana.

- Muszę dowiedzieć się, o co chodzi. Nie wmawiaj mi, że nic się nie stało, bo widzę, że spotkała cię jakaś przykrość. Co Melanie ci powiedziała?

- Nic, co dotyczyłoby ciebie.

- Kłamiesz. Za długo was nie było. O czym rozmawiałyście?

Splotła drżące ręce i położyła na kolanach.

- O urządzaniu domu, jeśli koniecznie musisz wiedzieć - wymyśliła na poczekaniu.

- Nie wierzę - rzekł głucho. - Gdyby naprawdę tak było, zachowywałabyś się inaczej.

- Do czego pijesz?

- Wiesz doskonale, więc po co pytasz? - Odwrócił się do niej. - Przez cały wieczór celowo mnie unikałaś.

- Myślałam, że nie zauważyłeś! - syknęła. - Za każdym razem, gdy spojrzałam w twoją stronę, otaczały cię kobiety, którym poświęcałeś całą uwagę.

- Staralem się zachowywać normalnie - odparował oschłym tonem. - Za to ty wygłupiałaś się i uwodziłaś każdego faceta, który znalazł się w pobliżu.

Po długim, przykrym milczeniu położył rękę na jej splecionych dłoniach.

- Darcy - zaczął łagodniej - czemu od wczoraj dziwnie się zachowujesz? Dostałaś z domu jakieś złe wieści?

- Tak. - Nabrała tchu. - Właściwie nic złego... Dostałam list od agenta... Zaczęto szukać odtwórczyni głównej roli w ciekawym filmie. Rola rzekomo idealna dla mnie i agent radzi jak najszybciej przyjechać.

Powoli odsunął się i wbił wzrok w ciemność za oknem.

- Pojedziesz?

W milczeniu skinęła głową.

- A co z nami? - zapytał, nie kryjąc rozczarowania i goryczy. - Czy przez cały czas tylko się mną bawiłaś? Myślałem, że mnie kochasz.

Nie mogła pozwolić, aby uważał, że jedynie ona zawiniła, więc wybuchnęła:

- Ja też sądziłam, że mnie kochasz, ale się myliłam! Jedynie, co kochasz, to ta przeklęta Bindaburra!

Zacisnęła pięści, by się opanować.

- Więc jednak porozmawialiście sobie od serca - rzekł lodowatym tonem. - Powinienem być się domyślić! Co ona ci nagadała?

- Powiedziała, że chciałaś się z nią ożenić tylko ze względu na Bindaburrę - rzuciła wojowniczo. - Że ty zerwałeś zaręczyny, gdy dowiedziałeś się, że jej ojciec odstąpił swój udział Jedowi.

- I uwierzyłaś w te brednie? - spytał chrapliwie. - Dopiero co ją poznałaś, ale wierzysz jej słowom bez zastrzeżeń? Naprawdę uważasz, że posunąłbym się do małżeństwa z niekochaną osobą tylko ze względu na majątek, który bez trudu mogę kupić? - Odwrócił się z niesmakiem. - Nie masz do mnie zaufania! Myślałem, że wspólnie spędzone tygodnie pozwoliły ci trochę mnie poznać.

- Nie wstyd ci? Jak śmiesz mówić o zaufaniu? - Była bliska łez. - Dziwię się, że w ogóle znasz znaczenie tego słowa. Zapomniałeś, jak traktowałeś mojego biednego wuja?

- Co insynuujesz? - spytał niebezpiecznie cicho.

- Próbowaleś go zastraszyć, żeby ci sprzedał swoją część Bindaburra, ale się nie udało. Wuj wiedział, co knujesz i dlatego postanowił zapisać ją mnie!

- Czy i tego dowiedziałaś się od Melanie? - zapytał z sarkazmem.

- Nie. - Wyprostowała się. - Wczoraj znalazłam list od adwokata. Wuj napisał do niego, bo bał się, że wyrzucisz go z Bindaburry.

- Mnie się bał? - Jego zaskoczenie było szczere. - Pan Meadows napisał coś podobnego?

- Nie wiem, jak się wyraził, ale z listu adwokata jasno wynika, że niepokoiło go twoje postępowanie.

Zapadło długie milczenie.

- Więc naprawdę uważasz, że byłbym zdolny pastwić się nad starym człowiekiem? Że mógłbym wyrzucić go z majątku, który był dla niego wszystkim?

Zakryła oczy zrozpaczona.

- Ja już naprawdę nie wiem, co myśleć! Wiem tylko, że chcę jechać do domu.

Nie mogła dłużej powstrzymać łez i rozplakała się, nerwowym ruchem ocierając mokre policzki.

- W to nie wątpię! - rzucił, pogardliwie wydymając usta.  
- Czyli naprawdę tylko o to ci chodzi, tak? Chcesz jechać do Anglii. Życie na prowincji znudziło ci się, a dzisiejsze groteskowe przyjęcie przypomniało, co tracisz. - Nabrał powietrza i z jadowitym uśmiechem ciągnął: - Pewnie zrobisz wielką karierę, bo przez te dwa miesiące wprawiałaś się w udawaniu. Muszę przyznać, że jesteś dobra. A ja ponownie dałem się nabrać... Nie podejrzewałem, że dla ciebie to tylko przejściowa rozrywka.

- Nieprawda! - zawołała, głośno szlochając. - Dobrze wiesz, że tak nie jest.

- Skąd mam wiedzieć? - Miał ściągniętą, nieodgadnioną twarz. - A co z Bindaburrą? Też masz jej dość?

- Weź ją sobie, skoro tak ci na niej zależy. Nic mnie już nie obchodzi. Zresztą powiedziałam, że ci ją sprzedam. Nie chcę, żebyś musiał dłużej udawać, że mnie kochasz!

- Aha. Czy jesteś pewna, że naprawdę tego chcesz?

- Tak - odparła, chociaż zupełnie nie wiedziała, czego chce.

- Wobec tego chyba już nic więcej nie zostało do dodania.

- Włączył silnik. - Radzę ci, żebyś zaraz po powrocie do Londynu skontaktowała się z adwokatem w sprawie sprzedaży. Ja na twoim miejscu zażądałbym oficjalnej wyceny majątku. Nie ryzykuj, bo osobnik, który pastwi się nad starymi ludźmi, na pewno oszukuje w sprawach finansowych.

Darcy była zrozpaczona, że Cooper nawet nie udaje, iż chce ją zatrzymać. Pomimo wszystko aż do tej chwili sądziła, że ją kocha. Teraz wyglądało na to, że jednak Melanie miała rację. Otrzymał to, na czym mu zależało, czyli Bindaburrę, więc ona nie była mu już do niczego potrzebna i chciał się jej pozbyć.







## ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Otworzył drzwi z szyderczą kurtuazją i słowami:

- Skoro szanowna pani jutro wybiera się w daleką podróż, radzę zaraz iść do łóżka i porządnie się wyspać. Nie może pani wrócić do Londynu z podkrążonymi oczami.

Jego ton wywołał nowe łzy, które ukradkiem otarła i spytała niepewnie:

- Co ze śniadaniem?

- Sami zrobimy - odparł obojętnie. - Bez ciebie też sobie poradzimy i nie zginiemy. Zanim wstaniesz, my dawno będziemy przy robocie.

- To znaczy, że już się nie zobaczymy?

Odwrócił się w drzwiach swej sypialni i rzekł ponuro:

- Myślałem, że o to ci chodzi.

Zamknął za sobą drzwi, jak gdyby chciał odciąć się od niej na zawsze.

Długo stała niby słup soli. Nie mogła przyjąć do wiadomości, że nigdy więcej nie zobaczy ukochanego.

Chciała zastukać do drzwi. Może otworzy? Pragnęła znaleźć się w jego ramionach i usłyszeć wyjaśnienie straszliwego nieporozumienia. Chciała zasnąć i obudzić się u jego boku, a od rana dla niego gotować i sprzątać.

Tymczasem jednak będzie musiała opuścić Bindaburrę na zawsze.

Wstała później niż zwykle, więc nikogo już nie było. Poruszając się jakby we śnie, pozmywała naczynia, przygotowała lunch, który wstawiła do lodówki. Gdy nie zostało nic do zrobienia, ze łzami w oczach pogładziła stary piec i popatrzyła naokoło. Chciała zachować w pamięci każdy szczegół kuchni.

Potem pospiesznie spakowała walizkę i torbę. Z łazienki zabrała kosmetyki, z sypialni Coopera swoje rzeczy. Została dom w takim stanie, jakby jej tu nigdy nie było.

Wyniosła bagaż na werandę. Dzień był piękny; wiał orzeźwiający wiatr, w słońcu połyskliwie bieleły skrzydła korelli, latających z drzewa na drzewo. W oddali stał samotny pelikan.

Zabolało ją serce, gdy pomyślała, że to wszystko zostanie takie samo, mimo iż jej tu już nie będzie. Jej nieobecność nie wywoła żadnej zmiany, a obecność nie pozostawiła śladu.

Ogarnęła ją rozpacz, gdy sobie uświadomiła, co to oznacza. Otóż nie zobaczy korelli, nie usłyszy gawronów, nie pospaceruje nad leniwie płynącą wodą. Nigdy już nie będzie razem z Cooperem oglądała zachodu słońca. Nigdy nie pocałuje ukochanego, nie poczuje jego silnych ramion, nie zobaczy czułego uśmiechu.

Zapłakana przeniosła bagaż do samochodu. Połykając gorzkie łzy, wsiadła i odjechała.

Drogi były lepsze niż przed dwoma miesiącami, a mimo to dopiero po dwóch dobach zajęła do Adelajdy. Udało się jej kupić bilet do Singapuru na samolot odlatujący tego samego dnia, więc nie musiała długo czekać. Podczas startu chciała wyskoczyć i wrócić do Coopera, lecz zamiast tego, siedziała bez ruchu i oddalała się od niego. Nie miała nastro-

ju, by rozmawiać z sąsiadem, więc założyła słuchawki. Patrzyła na ekran, nic nie widząc, gdyż prawie przez całą drogę płakała.

Przyjechała z lotniska dość wcześnie, więc Lucy jeszcze spała. Przyjaciółka weszła do kuchni około dziesiątej i na progu stanęła, nie mogąc wydobyć głosu. Przeraził ją widok Darcy, wyglądającej jak obraz nędzy i rozpaczy. Nigdy jej takiej nie widziała, ale sądziła, że to jedynie objaw zmęczenia po dalekiej podróży.

- Już myśleliśmy, że wcale nie wrócisz - powiedziała, gdy się przywitały i wyczuwały. - Dużo zwiedziłaś? Co ciekawego widziałas? Chyba nie tkwiłaś na głuchej prowincji?

- Tkwiałam.

- Och, ja bym umarła z nudów. Jak tam jest?

Darcy nie wiedziała, jak ująć w słowa wrażenia, jakich się doznaje nad szemrzącym strumieniem lub na wysokiej wydmie, skąd widać lekko zaokrąglony horyzont. Jak opisać powietrze przesycone światłem lub granatowe niebo pełne przyjaźnie mrugających gwiazd?

- Było nadzwyczaj pięknie.

Przed wyjściem na próbę Lucy powiedziała:

- Przejrzyj korespondencję, która leży u ciebie. Tuż po twoim wyjeździe przyszło, sądząc po kopercie, jakieś oficjalne pismo. Pomyślałam, że będzie bezpieczniej raczej nie przysyłać ci, lecz zatrzymać do twojego powrotu.

Darcy przysiadła na brzegu łóżka i obojętnie zaczęła otwierać koperty. Było kilka listów od rodziny i znajomych, zaproszenia, rachunki oraz, na samym spodzie, list z Adelajdy, z kancelarii adwokata wuja.

Gdy rozkładała kartkę z czerpanego papieru, ogarnęło ją

uczucie deja vu. Nagłówek, czcionka, nawet podpis był ten sam, co w liście, który znalazła w biurku wuja. Po przeczytaniu tamtego jej świat wywrócił się do góry nogami. Jaką zmianę przyniesie ten list?

Z większej koperty wypadła mniejsza, którą długo obracała w palcach, zaintrygowana. Najpierw przeczytała pismo od adwokata, który tłumaczył się i przeproszał za to, że nie dołączył listu od pana Meadowsa do pisma, w którym zawiadomił ją o jego śmierci i o spadku. Odłożyła pismo od adwokata na bok i otworzyła mniejszą kopertę. Drżały jej palce, gdy wyjmowała kartkę zapisaną niewprawnym piśmem wuja.



*Moja Droga Bratanico!*

*Jestem zadowolony z życia i żałuję niewielu rzeczy, ale ogromnie mi żal, że wcześniej nie schowałem dumy do kieszeni i nie wybrałem się do Anglii. Świadomość, że mam serdeczną i życzliwą rodzinę podtrzymywała mnie na duchu w ciężkich chwilach. Nie potrafię wyrazić słowami, jaką pociechę stanowiły wtedy listy od Ciebie. Na dowód mojej sympatii i uczuć zapisuję Ci w spadku Bindaburrę.*

*Posiadłość niestety nie należy wyłącznie do mnie. Przed kilku laty stanąłem wobec bardzo przykrej konieczności: miałem do wyboru albo sprzedać całość i się wyprowadzić, albo odstąpić komuś część, żeby zdobyć pieniądze na opędzenie najpilniejszych potrzeb. Postanowiłem odstąpić połowę człowiekowi, którego od dawna znałem i szanowałem. Na moje nieszczęście nasza umowa nie zawierała klauzuli o warunkach dalszej sprzedaży. Ów znajomy odstąpił swój udział komuś, kto według mnie jest nieuczciwy i bez zasad.*

*Właśnie wtedy postanowiłem zapisać Bindaburrę Tobie, bo nie mogłem znieść myśli, że dorobek całego mojego życia dostanie się w niepowołane ręce.*

*Od tego niegodziwego człowieka wybawił mnie pan Cooper Anderson, dla którego ta ziemia znaczy tyle samo, co dla mnie. Dzięki niemu mogę nadal gospodarować, jakby całość do mnie należała, ale zawarliśmy umowę dżentelmeńską, w myśl której po mojej śmierci Bindaburra przejdzie w jego ręce. Mam wobec niego dług wdzięczności, jakiego nigdy nie będę w stanie spłacić. Pan Anderson w pełni zasługuje na Bindaburrę, ale moja połowa jest wszystkim, co mogę zostawić Tobie. Wiem, że nie przeniesiesz się tutaj, bo masz swoje życie w Londynie i dlatego sądzę, że chętnie odstąpisz mi swoją część. Proszę Cię, kup sobie coś, co Ci będzie mnie przypominało. Mam cichą nadzieję, że przyjedziesz, aby zobaczyć to, czemu oddałem serce. Jestem pewien, że zostaniesz serdecznie przyjęta. Pan Anderson jest szlachetnym człowiekiem, więc nie wątpię, że przypadnie Ci do gustu.*

*Przesyłam Ci moc serdeczności.*

*Twój kochający wuj Bill*



Oczy miała zamglone łzami, ale przeczytała list powtórnie. Okazało się, że Cooper cieszył się uznaniem wuja, a ona swoimi posądzeniami wyrządziła mu straszną krzywdę. A przecież poznała go od najlepszej strony. Nie rozumiała, jak mogła uwierzyć, że byłby zdolny posunąć się do podłości i kłamstw. Na pewno zasługiwał na całą Bindaburrę, jak pisał wuj, i na pełne zaufanie. Tymczasem ona w niego zwątpiła.

Rzucik się na łóżko i gorzko rozpłakała.

Bardzo żałowała, że pospieszyła się z podróżą do Austra-

lii. Sądząc po dacie, list od adwokata przyszedł dzień lub dwa po jej wyjeździe. Wszystko ułożyłoby się inaczej, gdyby pojechała do Bindaburry nieco później i zachowywała się tak, jak życzyliby sobie wuj. A nie tak, że gdyby wiedział, to chyba musiałby spalić się ze wstydu za nią.

Po południu napisała dwa listy: do adwokata i do Coopera. Drugi pisała długo, z oporami; było tyle rzeczy, które chciała powiedzieć, a nie mogła znaleźć odpowiednich słów. Ostateczna wersja brzmiała:



*Drogi Cooperze!*

*Napisałam dzisiaj do adwokata z prośbą, żeby przepisał na Ciebie moją część. Teraz już wiem, że wuj naprawdę życzył sobie, żeby cały majątek należał do Ciebie. Nie przysyłał mi pieniędzy, bardzo Cię proszę. Wystarczą mi piękne wspomnienia z Bindaburry, które zachowam do końca życia.*

*Wiem również, że oskarżeniami o zły stosunek do mego wuja obraziłam Cię i wyrządziłam straszliwą krzywdę. Wuj pisze, że byłeś dla niego hojny, wspaniałomyślny i serdeczny. Nie masz pojęcia, jak mi wstyd i jak bardzo żałuję, że obrzuciłam Cię inwektywami. Bardzo przepraszam, zechciej mi wybaczyć.*



List wypadł blado, nie tak, jak chciała, lecz nie wiedziała, co jeszcze dodać. Dopisała: „Wierz mi, że bardzo mi przykro”, podpisała się i zakleiła kopertę.

Przed odjazdem zachowała się skandalicznie, więc nie mogła powiedzieć mu, jak bardzo go kocha. Za dobrze pamiętała ostatnią rozmowę i pogardę w jego oczach. Pozostało jej żywić nadzieję, że kiedyś uzyska przebaczenie. Łudziła

się, że jeśli Cooper kocha ją, jak zapewniał, odpisze na list. I może w przyszłości zaprosi do Bindaburry.

Zaniosła listy na pocztę, a potem położyła się i zasnęła kamiennym snem.

Codziennie niecierpliwie wypatrywała listonosza. Pamiętała, że listy niekiedy długo leżą w Muroondzie, zanim ktoś przy okazji je odbierze, więc rozsądek podpowiadał, że nie należy spodziewać się odpowiedzi przed upływem miesiąca. Mimo to uparcie zaglądała do skrzynki.

Znajomi robili wszystko, by ją rozerwać i ze względu na nich starała się zachowywać pogodną twarz, lecz wszędzie, gdziekolwiek była, nawet w teatrze, wracała myślami do Bindaburry. Pośród gwaru rozmów marzyła o cichym plusku strumienia i o głosach ptaków. Tęskniła za rozległymi przestrzeniami, czystym powietrzem, gwiazdami na granatowym niebie. Przede wszystkim jednak tęskniła za ukochanym.

W nocy nie mogła spać. Godzinami leżała bezsennie i wspominała chwile spędzone z nim w domu i pod gołym niebem.

Minął miesiąc, sześć tygodni, siedem. Powoli godziła się z tym, że Cooper nigdy się nie odezwie. Widocznie nie kochał jej tak mocno, by zdobyć się na przebaczenie. Może nawet w ogóle jej nie kochał. Pomyliła się co do jego stosunku do wuja, lecz całkiem prawdopodobne, że miała rację, gdy zarzuciła mu, że bardziej zależy mu na Bindaburze niż na niej. Teraz posiadał to, na czym mu zależało, więc ona przestała być potrzebna.

Ostatnie okrucy nadziei przysły po otrzymaniu pisma z Adelajdy. Adwokat powiadomił ją o załatwieniu zlecenia i przekazaniu jej części majątku panu Andersonowi, który

zapłacił wyjątkowo korzystną cenę. Adwokat otworzył konto w jej imieniu i czekał na instrukcje.

Dla niej oznaczało to klęskę. Nie miała już prawa do Bindaburry i pękło ostatnie ogniwo łączące ją z ukochanym. W odrętwieniu patrzyła na kartkę papieru z dalekiej Australii. Nie mogła uwierzyć, że przegrała i że bezpowrotnie utraciła człowieka, bez którego życie straciło sens. Miała wrażenie, że w mieszkaniu się uduśi, więc wsunęła list do kieszeni i wybiegła. Szła przed siebie na oślep, było jej obojętne, dokąd nogi ją niosą. Szła, byle iść.

Z wolna odrętwienie ustąpiło miejsca złości. Rozgniewała się na Coopera, że udawał zakochanego, a faktycznie czekał na przejście Bindaburry. Jednak bardziej była zła na siebie za to, że dała się zwodzić i do końca naiwnie wierzyła w jego miłość.

Krążąc po ulicach, doszła do Parku Battersea. Pierwszym zwierzęciem, jakie wpadło jej w oko, był kangur. Podeszła do ogrodzenia, przy którym stała matka z dzieckiem.

- Co to jest Australia? - pytała dziewczynka.
- Kontynent, który leży bardzo daleko stąd.

Darcy mogłaby dodać, że za dnia świeci tam oślepiające słońce, a w nocy granatowe niebo mruga milionem gwiazd. Przez chwilę obserwowała kangury, a potem poszła dalej i usiadła na ławce nad stawem. Zjawiła się wiewiórka, która podbiegała i przystawała, niewątpliwie czekając, że coś dostanie. Niestety, zawiodła się, ponieważ Darcy jej nie zauważyła. Patrzyła na sztuczny staw, lecz widziała naturalny strumień; zamiast kaczek i gołębi, widziała pelikany i papugi. Pod stopami nie miała przystrzyżonej trawy, lecz kawałki kory eukaliptusów.



Po policzkach spłynęły jej dwie wielkie łzy. Akurat w tej chwili ktoś usiadł na ławce. Odwróciła głowę, aby ukryć łzy i otarła twarz wierzchem dłoni. Osoba siedząca obok podała jej chusteczkę i powiedziała głosem Coopera:

- Proszę.

Przeraziła się, że zaczyna mieć halucynacje, więc powolutku spojrzała w prawo. Obok niej siedział prawdziwy Cooper Anderson. Wyglądał tak jak zawsze. Jego twarz, oczy, usta były takie, jakie jawiły się jej w snach przez dwa miesiące samotności i tęsknoty. Przymknęła oczy, a gdy je otworzyła, ukochany nadal był na tym samym miejscu.

- Skąd się tu wziąłeś? - zdołała wykrztusić. - Jak mnie znalazłeś?

- Szedłem krok w krok za tobą. Akurat dochodziłem do twojego domu, gdy wyszłaś i pognałaś przed siebie. Miałaś taką minę, jakbyś nie chciała do nikogo się odzywać, a zresztą na ulicy trudno rozmawiać, więc szedłem za tobą.

- Aha.

Nic nie rozumiała. Od rozstania wciąż powtarzała sobie, co powie, gdy się spotkają, a teraz nie pamiętała ani słowa. Wpatrywała się w niego i usiłowała uwierzyć, że stał się cud i on naprawdę siedzi obok.

- Proszę, weź chusteczkę. Dlaczego płaczesz? Nie dostałaś roli?

- Jakiej roli?

- Nie dali ci tej roli, po którą przyjechałaś?

Odwróciła wzrok i spojrzała na wiewiórkę, która bezskutecznie próbowała zwrócić na siebie uwagę Coopera.

- Nie było żadnej roli - szepnęła, oblewając się szkarłatnym rumieńcem.

- Naprawdę? - Odetchnął, jakby kamień spadł mu z serca.
  - Czyli to była wymówka?
  - Tak. Po co przyjechałeś? - spytała niemal z wyrzutem.
  - Przecież dostałeś to, o co ci chodziło.
  - Jeszcze nie.
  - Nie martw się, dostaniesz. Przyszło pismo od adwokata.
  - Wyjęła zmiętą kopertę. - Przeczytaj, jeśli mi nie wierzysz. Załatwiono formalności i Bindaburra nareszcie jest twoja.
  - Wiem. - Nawet nie spojrzął na kopertę. - Dzwoniłem do nich, żeby się upewnić.
  - O, nie mogłeś się doczekać!
  - Tak. A wiesz dlaczego?
  - Domyślam się - odparła z goryczą w głosie.
  - Ale chyba źle - rzekł cicho. - Chcesz znać prawdziwy powód, dla którego tak mi było spieszo dowiedzieć się, czy majątek należy wyłącznie do mnie?
  - No, czemu?
  - Bo wiedziałem, że wcześniej nie uwierzysz, że pragnąłem ciebie i tylko ciebie.
- Po bardzo długim milczeniu szepnęła drżącym głosem:
- Możesz to powtórzyć?
  - Nie chcę całego majątku, jeśli nie mogę mieć ciebie.
- Już nie zależy mi na twoim kawałku ziemi, ale na tym, żebyś wraz ze mną mieszkała w Bindaburze.
- Kochasz mnie? - spytała rozpromieniona. - Naprawdę?
  - Jak możesz w to wątpić?
- Objął ją i całował, aż im zabrakło tchu. Wiewiórka dała za wygraną i poszła do sąsiedniej ławki, na której siedziały dwie starsze panie.
- Czy teraz wierzysz, że cię kocham?

- Och, tak.  
- Powiedz, że ty też mnie kochasz.  
- Przecież wiesz!  
- Skąd mam wiedzieć? Twierdziłaś, że wracasz do domu, bo chcesz być aktorką.

- Najdroższy, czy kiedykolwiek wybaczysz mi moją głupotę? - Przytuliła się mocno. - Byłam zdezorientowana i nieszczęśliwa. Po przeczytaniu tamtego listu od adwokata do wuja, nie wiedziałam, co myśleć. Nie chciałam uwierzyć, że to mogło chodzić o ciebie, ale była mowa o wspólniku, a wiedziałam tylko o jednym.

- Jak to? Melanie mówiła ci o swoim ojcu?

- Tak. Najpierw ulżyło mi, że to on był taki wstrętny, ale potem zaczęła opowiadać, że tobie chodzi wyłącznie o majątek. .. I przypomniało mi się, co sam mówiłeś i... W dodatku ty swoim zachowaniem wcale nie poprawiłeś sytuacji. Przez cały wieczór mnie ignorowałeś i flirtowałeś z tymi busami, które prawie rzucały ci się w ramiona.

- No, jeśli mowa o flirtowaniu... Jak ty postępowałaś? Zawróciłaś w głowie wszystkim mężczyznom.

- A tylko chciałam przyciągnąć twoją uwagę - wyznała zawstydzona. - Chciałam, żebyś mnie stamtąd zabrał i zapewnił, że mnie kochasz, ale miałeś taką minę, jakby ci było obojętne, co robię. I dlatego uznałam, że Melanie ma rację.

- A mnie zżerała zazdrość. Zachowywałaś się tak dziwnie, że pomyślałam, że znudziła ci się Bindaburra i zatęskniłaś za poprzednim stylem życia. Nawet niezbyt mnie zaskoczyło, gdy powiedziałaś, że wracasz do domu. A kiedy zarzuciłaś mi podłość wobec twojego wuja... Zezłościłem się i wtedy pomyślałam, że najlepiej będzie, jeśli wyjedziesz.

- Przepraszam. Powinam mieć do ciebie zaufanie, ale nie mogłam znieść myśli, że biedny wuj był nieszczęśliwy. Czy to sprawka ojca Melanie?

- Nie, pan Collins jest uczciwy. Został współnikiem twojego wuja po ślubie Melanie, więc jej wersja, że chciałem się z nią ożenić ze względu na Biridaburrę jest złośliwym kłamstwem, wyssanym z palca. W najbliższej okolicy dla nikogo nie było tajemnicą, że marzę o nabyciu tego majątku ze względów rodzinnych. W związku z kłótnią, o której ci wspominałem, twój wuj w ciężkich dla niego czasach przyjął propozycję pana Collinsa zamiast mojej. Później gorzko tego żałował. Kłopoty zaczęły się, gdy Bindaburra przeszła w ręce jego zięcia. Jed łudził się, że znajdzie tu ropę. Nie miał zamiaru inwestować w ziemię, chciał ciągnąć z niej zyski. I nie zamierzał pozwolić, żeby twój wuj mu w tym przeszkodził. Pan Meadows oczywiście potrafił się postawić, ale czuł, że traci siły, bo ciągłe użeranie się z Jedem wykańczało go nerwowo. Między innymi dlatego wybrał się do Anglii. Podejrzewam, że był o krok od tego, żeby z Bindaburra zrezygnować, ale ty powiedziałaś coś, co sprawiło, że postanowił wrócić i walczyć o swoje.

Spojrzała na niego zdumiona.

- Ja coś powiedziałam?

- Dużo opowiadałaś mu o graniu na scenie, prawda? Mówiłaś, że wcale nie jest to łatwe zajęcie, ale według ciebie każdy powinien w życiu robić to, co lubi i nie żałować tego, czego nie robi. - Uśmiechnął się do niej czule. - Zaimponowałaś mu uporem i zawojowałaś dzięki temu, że we wszystko angażowałaś się całym sercem i duszą. Uświadomiłaś mu, ile Bindaburra dla niego znaczy. Po powrocie przyjechał do mnie i...

- Niebawale! Przecież miał na pieńku z Andersonami.  
- Właściwie tylko z moim ojcem. Wyobrażam sobie, ile go kosztowało, żeby przyjść do mnie i wyznać, że nie przyjmując mojej oferty, popełnił błąd. Wiedział, że będę dbać o Bindaburrę tak samo, jak on i nie przekopię całego majątku w poszukiwaniu ropy.

- Jak pozbyłeś się Jeda?

- Dość prosto. Każdy łajdak w głębi duszy jest tchórzem, więc on też. Uprzedziłem go, że zostałem trzecim wspólnikiem i jeśli nie zostawi pana Meadowsa w spokoju, będzie miał do czynienia ze mną. Zaproponowałem, że odkupię jego udział po przyzwoitej cenie i poradziłem, żeby poszukał ropy gdzie indziej.

- Tylko tyle? Nie wierzę.

Cooper spochmurniał i mruknął:

- No, powiedzmy, że udało mi się przekonać go, że to jest w jego własnym interesie.

- Nie miał ci tego za złe?

- Jeszcze jak. Dotąd mi nie wybaczył, bo moją interwencję odebrał jako upokorzenie. Jeśli tylko nadarza się okazja, bruździ, ile może. Dlatego tak nadskakiwał tobie. Nie chciał przepuścić szansy, żeby mi dopiec i wyrównać rachunek.

- A czemu Melanie tak kłamała? Ty jej nie upokorzyłeś, raczej ona ciebie.

- Czy ja wiem... - Wzruszył ramionami. - Jak ją znam, nawet jej do głowy nie przyszło, że mogłem się odkochać. Powinienem usychać z tęsknoty za nią, a tymczasem zakochałem się w tobie. Porzuciła mnie, ale jednocześnie myślała, że wystarczy skinąć na mnie palcem, a zawsze wróć do niej i padnę przed nią na kolana. Nie powiem, żeby zachowała

zimną krew, gdy bez ogródek powiedziałem, co sędzę o jej postępowaniu.

- Czyli chciała mnie skłonić do wyjazdu, żeby cię mieć dla siebie?

- Być może, ale przede wszystkim nie znosi rywalizacji. Poza tym, nawet gdybyś nie była związana ze mną, też byłaby o ciebie zazdrosna, bo jesteś piękna.

- Nie wierzę, żeby była zazdrosna o urodę - zawołała zdumiona. - Szczególnie o moją!

- Nie bądź taka skromna. Ona ma idealne rysy, ale przy tobie wygląda zimno i bezbarwnie, jak wymoczek. Może zrozumiała, że jeśli zakochałem się w kobiecie tak różnej od niej, to znaczy, że jej naprawdę nie kochałem. I to wcale a wcale jej się nie podobało... Nic dziwnego, że oboje się wysilali, żeby nas skłócić. Melanie nie chciała, żebym ożenił się z tobą, a Jed, żebym osiadł w Bindaburze.

- Wygląda na to, że czeka ich przykre rozczarowanie - szepnęła, całując go w brodę.

- Czy to znaczy, że wyjdiesz za mnie?

- Teraz nic mnie już nie powstrzyma. - Namiętnie pocałowała go w usta. - Ciekawe, czy wuj przewidział taki obrót sprawy, gdy liczył na to, że pojedę obejrzeć jego umiłowaną Bindaburę. Napisał, że jest prawie pewien, że ty mi się spodobasz.

- Wcale bym się nie zdziwił, gdyby myślał o wyswataniu nas. - Roześmiał się beztrosko. - Przyznam się, że chwilami miałem po dziurki w nosie słuchania o tobie. Umówiliśmy się, że nie będę się wtrącał do jego sposobu gospodarowania, ale czasem wpadałem do niego na pogawędkę. Chciałem dowiedzieć się czegoś o bydle i koniach, a musiałem wysłu-

chiwać wspomnień o krewniaczce, która wydawała mi się osobą nie do zniesienia. Nie rozumiałem, jak taki trzeźwo myślący człowiek mógł dać się omotać trzpiotce. Potem nagle trzpiotka zjawiała się we własnej osobie... - Popatrzył na nią rozświetlonym wzrokiem. - Resztę znasz. Jedno spojrzenie na ciebie i przepadłem!

- Wuj chyba by się z tego cieszył.

- I chyba również chciałby, żebyś to nosiła. - Wyjął z kieszeni pudełeczko. - Przywiozłem pierścionek dla Violet. Dałem go do oczyszczenia i zabrałem na wszelki wypadek. I tak należy do ciebie, ale uważałem, że jest najodpowiedniejszy jako zaręczynowy, bo to niejako twój wuj nas połączył. - Zajrzał jej głęboko w oczy. - Jeśli chcesz, kupię ci inny.

- Nie. Wolę ten, choćby ze względu na wuja. Na pewno byłoby mu miło, gdyby wiedział, że nareszcie po tylu latach pierścionek jest noszony. Ty możesz mi kupić obrączkę.

- I nowy piec - dodał z przymrużeniem oka.

Wsunął jej pierścionek na palec i pocałował ją w rękę. Westchnęła uszczęśliwiona.

- Szkoda, że zmarnowaliśmy dwa miesiące. Nie masz pojęcia, jaka byłam nieszczęśliwa bez ciebie.

- Mam, mam. Nie wyobrażasz sobie, co czułem, gdy po powrocie do domu przekonałem się, że jednak mnie rzuciłaś. Wieczorami siadywałem na werandzie i wspominałem cię. Zdawało mi się, że słyszę twój śmiech, że kątem oka widzę, jak się krzątasz w kuchni. Co noc budziłem się ze złudzeniem, że leżysz koło mnie, ale gdy wyciągałem rękę, nikogo nie było.

- Ja też nie mogłam spać. Tęskniłam za tobą aż do bólu. Czemu nie przyjechałeś wcześniej? Nie dostałeś mojego listu?

- Dostałem. Przeczytałem go tyle razy, że umiem na pamięć. - Przytulił ją mocniej i pocałował. - Byłbym przyleciał pierwszym lepszym samolotem, ale ani słowem nie wspomniałaś o miłości. Postanowiłem czekać na załatwienie najważniejszej sprawy, żebyś nie miała wątpliwości, że chcę cię ze względu na ciebie samą. Poza tym dałem ci czas na zastanowienie, czego naprawdę pragniesz w życiu. Gdybyś dostała ciekawą rolę, mogłaś już zająć się robieniem kariery. Wiedziałem, że w porównaniu z tutejszymi rozrywkami, mam niewiele do zaoferowania. Ale łudziłem się, że jednak pokochałaś i mnie, i Bindaburrę.

- Stało się to już dużo wcześniej - zapewniła pospiesznie.

- Wiem, dlaczego chciałaś odwlec ślub, ale teraz chyba już nie musimy dłużej czekać, prawda?

- Nie, bo oboje wszystko przemyśleliśmy. Zresztą drugi raz już cię od siebie nie puszcę.

- Pogodziłeś się z faktem, że będziesz miał nieprzydatną żonę? - zażartowała.

- Kto mówi, że jesteś nieprzydatna? - Udał oburzenie.

- Nikt tak artystycznie nie przypala mięsa i bardzo nam brakowało tego specyficznego smaku. - Spoważniał. - Nie będziesz nieprzydatna, kochanie. Nigdy nie byłaś. Dzięki tobie dom jest prawdziwym domem, a ja najszcześliwszym człowiekiem na ziemi. Nic nie jest bardziej pożyteczne.

- Może jednak powinnam ukończyć kurs gotowania i szycia?

- Nie chcę, żebyś była inna. - Oczy znowu mu wesoło rozbłyły. - Poza tym, jeśli ty pójdziesz na kurs gotowania, ja będę zmuszony iść do psychologa. Miałaś jakieś zastrzeżenia co do moich uczuć, prawda?



- Już nie mam! Uwielbiam cię takim, jakim jesteś - zapewniła z radosnym śmiechem. - Nie zmieniaj się.
- A co z twoją karierą aktorską? - spytał, całując ją w czubek nosa. - Ja mogę ci zaproponować jedynie rolę mojej partnerki.
- Na jak długo opiewa kontrakt?
- Na całe życie.
- Czy otrzymam rolę pierwszoplanową?
- Oczywiście.
- Zatem przyjmuję warunki. - Westchnęła rozanielona.
- To wymarzona rola dla mnie.



RS